№ 45. Warszawa, dnia 29 Października (10 Listopada) 1883 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOS

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.- Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

RUCH W PRZYRODZIE.

Ustęp z angielskiego dzieła pana de Vere p. t.

Stray leaves from the book of nature.

(Liście z księgi przyrody.)

Streszczony przez

Sewerynę Duchińską.

(Dalszy ciąg.)

W dawnych rocznikach europejskich, ryż zajmuje już pomiędzy zbożem bardzo ważne miejsce. Pochodzi on z Indyi, nosi tam nazwę *Vri*. Na Wschodzie od czasów najdawniejszych stanowił główne pożywienie. W epoce Aleksandra W-go, uprawiano go na brzegach niższego Eufratu, zkąd przeniesiono go do Egiptu. Rzymianie jak się, zdaje wcale go nie używali, dopiero Arabowie po szerokich podbojach, wprowadzili go do południowej Europy. Ameryka od początku zeszłego wieku, zaczęła uprawiać to ziarno, a dziś zasypuje nim nasz kontynent.

Nowa półkula świata, uważa kukurydzę za swój rodzimy produkt ulega to przecież wątpliwości. Theofrastes mówi o jakimś rodzaju pszenicy sprowadzonej z Indyi z wielkiem ziarnem, nakształt pestek oliwnych, łatwo poznać w tem kukurydzę. Zresztą nie odkryto nigdzie w Ameryce tej rośliny rosnącej dziko w ziemi nieuprawnej. Sama nazwa jej w Europie świadczy o wschodniem pochodzeniu: Włosi i Niemcy, zowią ją zbożem tureckiem, Grecy zbożem arabskiem.

Co do kartofli, te jak powszechnie wiadomo otrzymała Europa z Ameryki. Znakomici jednak botanicy odnoszą je pierwotnie do Wschodu, w Peru, Chili i Meksyku, wyrodziła się tylko zdaniem ich szczególna odmiana pod wpływem sprzyjających warunków.

Wszelkie najpomyślniejsze przedsiębierstwo ma także i złą stronę, za każdą najdzielniejszą armią ciągną włóczęgi i rabusie. Tak też i człowiek w wędrówkach swoich, wraz z pożytecznem ziarnem, przynosił zarody chwastów, łopianów i kolczystego ostu, gdziekolwiek też zatrzymał się w pochodzie, zielska wyrastały w koło ścian jego domu.

Uczony S-t Hilaire mówi, że podróżni poznają na pustyni brazylijskiej, miejsca gdzie mieszkał człowiek, po chwastach jakie się tam rozkrzewiły. Co zaś najdziwniejsza, to że każde plemię przyciąga do siebie te lub owe rośliny. Po takich skazówkach, możnaby nawet oznaczyć, czy Europejczycy lub Azyaci, Węgrzy czy też Indyanie, przebywali w danej okolicy. W Grenlandyi szczególne zielsko oznacza miejsce, gdzie była niegdyś osada norwegska. Starożytni Indyanie, poznawali po szerokich liściach *babki*, ślady stóp białego człowieka. Zbadanie roślin, może dać niejedną skazówkę historykowi; rośliny oznaczyć mogą ślad migracyi ludzkich plemion. Przytoczymy naprzykład dzikie zioła sprowadzone ze Wschodu przez Cyganów, używane przez nich na leki! Posiewają je zwykle w koło namiotów swoich, tym sposobem ze Wschodu przywędrowały na Zachód.

Czasami sprowadzona roślina, tak rozradza, że zagłusza miejscową florę. Tak oto karczoch i brzoskwinia, posadzone na *pampasach* (stepach) Ameryki południowej, popsuły zupełnie pastewniki. Wyspy uległy podobnej zmianie. Na wyspie św. Heleny, znikły prawie całkiem miejscowe rośliny, ustępując europejskim i azyatyckim. Wschodnie obszary Chin, wytrzebiono zupełnie, rodzime płody ziemi zastąpione innemi.

Niektóre rośliny tak się mnożą w danej okolicy, że w końcu wypędzą z niej tubylców, inne znów nikną wskutek przewrotów dziejowych. Palestyna niegdyś tak żyzna i kwitnąca, dziś stała się bezpłodną, zatraciła winograd i inne owoce, jej wsie i pola, smutny przedstawiają obraz.

Nasza prosta koniczyna, pozostawiła widoczne ślady swej wędrówki. Ponieważ wilgoć niezbędnie jej potrzebna, opuściła wygorzałe równiny Grecyi. Spustoszona Italja nie mogła jej zatrzymać, rozbiegła się więc po Niemczech a stamtąd po wilgotnych strefach Północy. Znikły w Egipcie winnice Markolu, z których płyn opiewany przez Horacego, rozweselał biesiadników Kleopatry. Rozbójnik nie znajdzie już ochrony w jodłowych lasach Posejdonu, drzewa te z wytlonej skwarem doliny, przeniosły się na górę.

Dodajmy tu jeszcze, że najdelikatniejsze owoce: winograd, wiśnia, granat i brzoskwinia, przyszły do nas ze Wschodu. Cytryna nie dojrzewała pierwotnie pod włoskiem niebem, pomarańcze bowiem i limony, dostały się do Europy z Arabami.

W murach Pompei, nie ma żadnej wzmianki o cytrynie. Wszelkie owoce, przebywszy czas jakiś w Europie, przybrały tu piękniejszą formę i smak delikatniejszy, ztąd przechodzą do Ameryki, a ztamtąd znów przez Kalifornią wracają do pierwotnej kolebki. Wkrótce zapewne Stany Zjednoczone, które dostarczają już zboża biednej Irlandyi i ozdabiają stoły bogaczów przepysznemi jabłkami, posyłać będą winograd i inne owoce do Persyi, zkąd Europa otrzymała pierwsze brzoskwinie, gorzkie i pozbawione woni.

Rzecz godna uwagi, że w nagrodę za cukier, za pieprz, za pomarańcze i granaty, świat nowy, wy-

wdzięczył się tylko staremu, odurzającą nikotyną, której nadużycie, staje się zabójczem dla zdrowia i umysłu. Niektórzy botanicy utrzymują, że tytuń znany był już w Chinach, na długo przed odkryciem Ameryki.

Tajemniczy ruch odbywa się w przyrodzie i to na wielką skalę. Od czasu do czasu, przemienia charakter wegetacyi w kraju nowo odkrytym, lub świeżo zakolonizowanym, ścisły bowiem panuje związek, pomiędzy roślinami a człowiekiem. Te nietylko, że go karmią, lecz dają mu odzież i strawę dla domowych bydląt, słowem zapewniają mu dobrobyt. Zboże stało się największem bogactwem społeczeństwa, uprawa jego i przerabianie, wymaga bowiem wielkich trudów i stowarzyszenia w pracy. Ponieważ żadne społeczeństwo nie może istnieć bez praw, śmiało powiedzieć można, że rośliny przeważną dały pobudkę do pierwotnych urządzeń prawnych. Dla Rzymian Ceres nie była tylko bóstwem: nazwano ją prawodawczynią.

III.

Wędrówki zwierząt.

Owady. — Ryby. — Płazy.

W oczach ludzi, patrzących na rzeczy z pozoru, zwierzęta trzymają się miejsca zarówno jak rośliny. Nowsze badania wykazały jednak, że zwierzęta w bezustannym są ruchu. Nie wiemy nic o ich dawnych wędrówkach. Historya, która nie objaśnia nam pierwszych podróży człowieka, nie może tem bardziej powiedzieć nic pewnego, o istotach niższego rzędu. Snadno jednak przypuścić że zwierzęta domowe pochodzą z wielkiego ogniska życia ziemskiego, to jest z Indyi. Widoczne ich powinowactwo ze zwierzętami tegoż gatunku, które w dzikiej piękności swojej, bujają swobodnie po stepach azyatyckich.

Zwierzęta równie jak rośliny, wędrują za pomocą środków jakich dostarcza im przyroda. Wielkie rzeki: Ganges, Kongo, Amazonka, Orenoko, Missisipi, ciągną do morza całe wyspy, pełne żyjących istot. Spotykamy często na oceanie, o jakie tysiąc mil od lądu, kępy waregów pływające na powierzchni wód: są to miejsca spoczynku dla maleńkich muszelek, co płynąć daleko nie mogą. W bliskości wysp filipińskich, żeglarze widują nieraz po przejściu Tyfonu, wielkie pnie drzew pływające po morzu. W ich korze kryją się całe gniazda owadów, mnóstwo jaj i poczwarek. Częstokroć jaszczurki i ptaki żeglują na tych kłodach z jednej strefy na drugą. Na wyspie św. Wincentego, znaleziono węża *boa*, ogromnej wielkości, okręconego o pień cedru, który fale uniosły z brazylijskich lasów. Nieraz wielki prąd Atlantyku, wyrzucał na brzegi wysp azorskich, ciała istot nieznanego rodzaju. Taki wypadek utwierdzając Kolumba w przekonaniu, że ma przed sobą nowe lądy, stał się jedną z przyczyn odkrycia Ameryki.

Podczas gdy wody spełniają to zadanie, prądy powietrzne zanoszą daleko myryady ziarn, a z niemi niesłychaną moc jaj różnych owadów i wymoczków. Aby wykazać ten fenomen, profesor niemiecki Ungier, włożył kilka kawałków szkła dobrze oczyszczonego między podwójne okno. W kilka miesięcy potem, badał przez mikroskop osiadły na nich pyłek, znalazł tam nasienie ośmiu roślin, jedenaście odmian grzyba, przytem żywe wymoczki i ich jajka, wszystko to wcisnęło się przez szparki niedostrzeżone okiem.

Większe nawet zwierzęta, zmieniają miejsce w tenże sposób. Widziano nieraz jak nawałnica, porywała myszy, owady, płazy i drobne ryby: kilka lat temu, w jednej wsi francuzkiej, mnóstwo rybek upadło z deszczem, w wielu miejscach spadają drobne żabki.

Zasługują również na uwagę, awanturnicze wędrówki maleńkich pajączków, kołyszących się w powietrzu na srebrnej nitce. Sztucznie utkanym balonikiem, pajączki te puszczają się daleko. Darwin opowiada, że setki ich spadały na pokład jego statku o trzysta mil angielskich od przystani.

Ze wszystkich powodów migracyi zwierząt, głód najpotężniejszym jest i najczęstszym. Osieł dziki z azyatyckich płaszczyzn, opuszcza latem stepy wielkiej Tartaryi i spieszy na żyzniejsze brzegi jeziora Ałtajskiego. Niekiedy tysiące tych zwierząt, wędruje na północ Indyi a nawet do Persyi. Zając sybirski i szczur norwegski, równie jak ren i wół piżmowy, przyciśnięte głodem, porzucają strefy lodowate, kierując się ku Południowi.

W życiu owadów szczególniej zdumiewają nas ich wędrówki. Przylatują całą chmarą, niewiadomo zkąd, w miejscu gdzie ich nigdy nie widziano, spieszą dalej żadną niewstrzymane zaporą. To podlatują na skrzydłach, to skaczą, to pełzają, mnóstwo widać dziś w Europie obrzydliwych owadów, nieznanych wcale przed jedenastym wiekiem.

Jedwabnik przeciwnie, z trudnością przyswaja się w niektórych miejscach, nierad opuszcza strefy, gdzie obficie wyrasta morwa. Rodem z Azyi dawał Kokony Chinom, na długo wprzód, nim u nas wiedziano, że istnieje. W szóstym wieku, ksiądz jeden, przywiózł do Konstantynopola jajka tego owadu i odtąd nowa gałęź przemysłu zrodziła się w Grecyi. Kiedy król Roger podbił Sycylią, wprowadził tam jedwabniki, z Sycylii dostały się dalej na Północ.

Pszczoła lubi szczególniej strefy zachodnie. Nie znajdzie jej na wschód Uralu. Naprożno usiłowano rozpowszechnić ją na Syberyi, mianowicie koło Tobolska. Nieznana w Ameryce, aż do końca siedmnastego wieku, ledwie się tam dostała, wnet upodobała sobie miejscowość i liczne wydaje roje. Indyanie zowią ją muchą angielską, patrzą na nią ze wstrętem, gdyż im zapowiada białe plemię. Dziś jeszcze wskazuje wyraźnie pochód kolonistów ku Zachodowi, nasamprzód w głóchym lesie słychać brzęk rojowiska pszczolnego, potem nastąpi huk toporu, pomieszany z gwarem nieznanej mowy.

Mrówki wędrują także, nieraz widzimy jakąś zbłąkaną mrówkę, krążącą tu i owdzie, kto zna przecież ich obyczaje, wie że nigdy nie błąkają się bez celu. Czarne mrówki pożyteczne dla Indyan wschodnich, maszerują tak ściśniętym szeregiem, że ziemia zda się pokryta czarną krepą, pożerają zieloną murawę tak na polu jak w lesie; potem wpadają śmiało do domostw, przebiegają kuchnie i piwnice, wdzierają się na strych, zaglądają w każdą szczelinę muru. Po takiej wyprawie, nie znajdzie nigdzie owadu, ni szczura, ani myszy.

Groźniejsze nierównie wędrówki szarańczy, tego odwiecznego symbolu najezdników. Miryady ich przysiadają na ziemi, istna chmura ściągnięta gniewem Bożym. Ich ojczyzną pierwotną są pustynie zapadłego wschodu. Zagrzebują w piasek jajka, które wylęgają się pod ciepłem promieni słonecznych, dopóki małe, siedzą cicho przy ziemi, ale gdy im wyrosną skrzydła, zrywają się w górę, lecą tak wielką nawałą, że zaciemniają słońce, słychać tylko głuchy szelest ich skrzydeł. Lecą zwykle od Wschodn na Zachód, przebywają morze, wnikają nawet w głąb Afryki. Widziano je także w Szkocyi. Najżyzniejszą glebę, zamieniają w pustynię, w jednej chwili niszczą wszelką roślinność. Napad ich sprowadza naprzód plagę głodu, mór idzie po nim w ślady, ciała ich bowiem padając po drodze zarażają powietrze zgniłym miazmatem. Żydzi znali tę plagę, w księgach świętych mamy straszny jej obraz.

Ryby w ciągłym są ruchu, woda bowiem ułatwia im żeglugę. Najlotniejsze nawet ptaki, ani orzeł, ani jaskółka nie podróżują tak szybko jak śledź lub delfin morski. Ptak znużony długim polotem, musi niekiedy spocząc, chociażby na maszcie okrętu, ryba przeciwnie zdaje się niestrudzona. Rekiny szły nieraz przy parostatku, podczas długotrwałej podróży, czekając łupu i wesoło igrając z falą.

Wędrówka ryb, co rok w jednym czasie, bywa dla niektórych okolic prawdziwem dobrodziejstwem. Łowy na foki, zasilają głównie Lapończyków, stokfisz daje zarobek islandzkim wyspiarzom. Połów śledzi zajmuje co rok w Europie trzy tysiące statków, nie licząc w to łodzi rybackich, zasila miliony ludzi.

Inne ryby w życiu koczowniczem, przedstawiają szczególne zjawiska. Makrela zanurza w muł głowę i grzbiet cały, tak pozostaje przez zimę, wiosną puszcza się w drogę, znosi ikrę w wodach odpowiednich. Węgorz najdziwniejszy z wędrownych istot, część drogi zwykle odbywa lądem. W lecie kiedy wyschną bagna, w których się gnieździ, wybiega śmiało, nocą pełza po wilgotnej murawie i szuka innego jeziora. Łakomy na rośliny niektóre, pożera chciwie pączki grochu i częstokroć przypłaca życiem zbytnią śmiałość. Inne ryby wędrują też bandami przez noc, po zroszonej trawie. Okuń z Tranquebaru wyskakuje na brzeg za muszelką, którą widzi na wierzchołku małej palmy. Za pomocą kleistego soku, przyczepia się do kory drzewa, a pomagając sobie ruchomym ogonem, wdziera się coraz wyżej, dochodzi wreszcie mety i nieraz widzieć można rybę obok muszli na wierzchu drzewa.

(*D. n.*)

Zimowym zmrokiem.

Białonóżko! śnieżną dróżką,
Prędzej, prędzej bież!
Step dokoła — nikt nie woła,
Raźno ognia krzesz.

Ponad nami, brylantami
Strop niebieski lśni...
Drzemią burze i w lazurze,
Złoty księżyc drży!

Pędź kasztanie, co sił stanie,
Przez puchowy szlak,
Pobujamy — poigramy...
Jak swobodny ptak!

Bronisława Kor...

MAGDALENA

POWIEŚĆ

Pani CARO.

Przełożona z francuzkiego na język polski

przez

P. LUDWIKĘ ROUHER.

(Dalszy ciąg.)

— Pozwól nam pani — rzekł grzecznie pan de Chervieres — zapewnić ją, że miłość istnieje. Uwierz nam na słowo zanim ktoś inny szczęśliwszy, będzie mógł dowieść pani tej prawdy. Młoda mizantropka nie ma prawa zaprzeczyć naszemu doświadczeniu.

— Mój Boże — rzekłam — bardzo chętnie chciałabym wierzyć, ale patrzcie na około nas, kto umie kochać? Czy Karolina de L. naprzykład? Ależ kogo ona kocha? Męża czy kochanka? Aby odpowiedzieć na to pytanie, poczekajmy rok a może mniej jeszcze. A wy panowie, co przeklinacie małżeństwo, znajdujecie życie za długie, aby jedna miłość mogła wam wystarczyć. Nie mam doświadczenia! mówicie, to prawda, ale uważałam badałam i zrozumiałam. Czy to moja wina? że nie umiecie kochać, czy was oskarżam? Lituję się nad wami nic więcej. Świat jest stary i zużyty w młodych nawet sercach zwiędły już uczucia i znamy je tylko z nazwiska. Smutne to dziedzictwo, wszyscy mówią o miłości, ale nikt nie kocha!

— A ja? — zapytała słodko Ludwika.

Zadrżałam, albowiem zapomniałam zupełnie o niej.

— Ty, tak, ty jedna, tylko — odpowiedziałam po krótkiem milczeniu i wyszłam z salonu, zostawiając wszystkich bardzo zdumionych i zgorszonych, że wuj pozwalał mi wyrażać śmiało i otwarcie moje myśli. Oparłam się na tarasie a łzy płynęły obficie po mojej twarzy.

Powietrze było ciężkie i nieochłodzone najmniejszym powiewem wiatru. Kwiaty spalone upałem całego dnia wydawały nieprzyjemną woń. Burza ciężyła na całej naturze, nadaremnie szukały moje oczy zachęty w niebie, niebo było ciemne, ponure, a od chwili do chwili, milcząca błyskawica przerzynała czarne chmury, które powoli nadciągały. Padłam na ławkę w kącie tarasu.

— Kochasz i chcesz zaprzeczyć, że miłość istnieje, to bluźnierstwo Magdaleno — rzekł Robert, który przybliżył się bez mojej wiedzy i siadł obok mnie. — Czy pomyślałaś jak cierpiałby ten, o którym mówiłaś mi raz, ten którego kochasz, gdyby cię słyszał przed chwilą, zapierającą się własnej wiary i depczącą co czci twoje serce.

— Niepokoisz się zanadto o niego — odpowiedziałam — ten którego kocham nie dba o mnie, przysięgam ci że jest szczęśliwy i zapomniał przeszłości.

— A ty kochasz go zawsze? — zapytał pół głosem.

— Czy ja go kocham? — zawołałam z rozpaczą — ale czyż nie widzisz, że umieram z miłości. Ah! nikt nie widzi, nikt nie rozumie mojego nieszczęścia. Mój Boże! czemuż już nie jestem atomem tego pyłu, który depczę.

— Magdaleno! nie trzeba mówić o śmierci w twoim wieku.

— Prawda — odrzekłam z goryczą — trzeba uśmiechać się, aby nie nudzić szczęśliwych. Cóż zrobiłam, aby cierpieć tak strasznie. Ale pokój ostateczny już niedaleko, czuję to, może wtenczas, Robercie zrozumiesz z jakiej choroby można umrzeć w moim wieku.

Przerwałam przerażona spojrzeniem, które wlepił we mnie i pobiegłam do mego pokoju.

— Co uczyniłam! nieszczęsna! — zawołałam padając na kolana, przygnębiona wstydem. — Spojrzenie jego pali mnie, gdybym mogła zatrzeć je własną krwią! Nikczemne serce! odkryło swoją tajemnicę. Trzeba więc uciekać, koniecznie uciekać, nie chcę spotkać raz jeszcze wyrazu tych oczu, nie chcę być zmuszoną rumienić się przed nim.

Rozmyslałam tak przez kilka chwil a zdecydowawszy się nagle powstałam i napisałam do doktora Bruneau. Znałam go od dzieciństwa a on kochał mnie jak ojciec. „Potrzebuję cię kochany doktorze, przybywaj natychmiast."

Wysławszy list, byłam spokojniejszą. Położyłam się, mając zamiar zostać w moim pokoju nazajutrz i dni następnych, aby ułożyć sobie plan przyszłości. Następnego dnia doktor przybył bardzo rano, cofnął się kiedy mnie zobaczył.

— Widzisz kochany przyjacielu — rzekłam wyciągając do niego rękę — jak szybkim krokiem zbliżam się do cmentarza.

— Co ci jest Magdaleno — rzekł siadając obok mnie. — Jaka zmiana niepojęta! Wyznaj mi natychmiast, że popełniłaś jakąś nieroztropność, lub ukrywasz przedemną wielkie zmartwienie. Mów otwarcie, moje dziecko.

— Nie, doktorze — odpowiedziałam — nic podobnego!

Popatrzył na mnie, trzęsąc głową i licząc gorączkowe bicie mego pulsu.

— Wiesz doktorze — rzekłam raptownie — możesz uratować mnie, jeżeli zechcesz. Zależy to zupełnie od ciebie. Jedno słowo a twoja Magdalena powróci do zdrowia.

— No, no, cóż takiego, jakieś szaleństwo bezwątpienia.

— Może, ale bardzo niewinne szaleństwo, które nikomu szkody nie przyniesie. Oto chciałabym podróżować... nie uśmiechaj się, doktorze to co mówię jest samą prawdą, nuda mnie zabija, nuda ciężka i straszna. Czy nie znasz tej okropnej choroby?

— O tak! ma ona brzydkie imię moja biedna Magdaleno.

— Ah! choroba jest brzydsza od nazwy, zapewniam cię doktorze i jeżeli mnie kochasz, przekonasz mego wuja o konieczności tej podróży. Niech zawiezie mnie, gdzie sam chce, byle tylko daleko, o bardzo daleko do Hiszpanii, Włoch, do Chin nawet.

— Dobrze, dobrze, rzecz sama przez się, nie jest niemożliwą a środek wcale nie zły.

— Tak, ale doktorze trzeba abyśmy wyjechali natychmiast, nie chcę zostać tu dłużej, albowiem umarłabym.

— Co za wulkan! ale czemu nie pomówisz sama z twoim wujem? Wszakże, nigdy nic ci nie odmawia.

— Ah! dobry najlepszy przyjacielu! jeszcze nie skończyłam, trzeba także przekonać mego wuja, że podróż ta konieczna dla mnie, byłaby fatalną dla Ludwiki.

— Ależ nie, nie mogę tego powiedzieć. Ludwika jest świeża jak zorza poranna i zupełnie zdrowa, zresztą, znam ją i nic na świecie nie mogłoby ją nakłonić, aby cię opuściła, zwłaszcza tak cierpiącą jak jesteś obecnie.

— Otóż właśnie tego obawiałam się — zawołałam smutnie — dajmy zatem pokój wszystkiemu, lepiej zostać tutaj i skończyć zaraz...

— Ależ moje dziecko!

— Kochany doktorze — rzekłam z wysiłkiem — myśl o mnie co chcesz, że jestem niedobrą, niewdzięczną, bez serca, nie wiem sama co, ale ponieważ trzeba wyznać prawdę, zatem muszę ci powiedzieć, że właśnie, obecność Ludwiki, siostry mojej zabija mnie. Nie możesz wystawić sobie takiej nikczemności, nieprawdaż? Ah! jestem bardzo chora, dobry mój doktorze! Tak jest, Ludwikę moją Ludwikę, którą kochałam dawniej tak serdecznie, dziś nie mogę znosić.

— Co mówisz Magdaleno! Czy Ludwika zmieniła się dla ciebie?

— Lepszą jest czulszą jak nigdy! Obudzam w tobie wstręt, ale gdybyś wiedział jak cierpię z powodu tej okropnej choroby, ulitowałbyś się nade mną. Zdecyduj mój odjazd a powrócę wyleczoną i znowu znajdziesz twoją Magdalenę, taką jaka była niegdyś, jaką kochałeś, jaką wszyscy kochali.

Płakałam, starał się mnie uspokoić i poszedł do mego wuja. Nie wiem w jaki sposób przeprowadził rozmowę, ale tego samego wieczoru oznajmił, że za kilka dni odjeżdżamy oboje do Włoch.

V.

Zaczęłam natychmiast robić przygotowania do wyjazdu nie wychodząc z mego pokoju. Ludwika była ciągle ze mną, obawiałam się, aby Robert nie poprosił o pozwolenie odwiedzenia mnie, ale nie zrobił tego za co byłam mu wdzięczną.

Nareszcie, doczekaliśmy się drugiego września. Postanowiono, że tego samego wieczoru Robert i Ludwika wrócą do Paryża, aby czekać na mnie a ja z moim wujem, miałam połączyć się z niemi nazajutrz rano, następnie zaś mieliśmy odjechać do Włoch we dwa dni później.

Miałam zatem już tylko kilka godzin pozostać na wsi i Ludwika prosiła mnie usilnie, abyśmy ostatni wieczór spędzili razem.

Odjazd mój był blizki, sądziłam więc, że mogę zobaczyć Roberta bez żadnego niebezpieczeństwa. Kiedy weszłam do salonu, oparta na ramieniu mego wuja, Robert siedział w framudze okna, przy moich krosnach do haftu i niedbale skręcał jedwabie w ręku. Usłyszawszy mój chód podniósł głowę.

Przybyłam uzbrojona dumą, zdecydowaną okazać wielkie zadowolenie z powodu odjazdu, chcąc w ten sposób zniweczyć w umyśle Roberta, wzbudzone podejrzenie. Wuj poprowadził mnie ku oknu, gdzie stał Robert i dopomógł mi usiąść na fotelu, podczas kiedy Ludwika położyła obok mnie książki i robotę.

— Czy czujesz się lepiej? — zapytał Robert — wydajesz mi się nadto osłabioną, aby módz podróżować.

— Jestem silniejszą niż się wydaję — odpowiedziałam głosem dosyć obojętnym — zresztą zmiana powietrza i rozrywki uzdrowią mnie prędko. Będziemy robić długie wycieczki pieszo w górach, nieprawdaż wuju?

— Za tydzień, Magdalena będzie na szczycie Mont Blanc — odpowiedział uśmiechając się.

Zaczęliśmy razem kreślić kierunek naszej podróży przez Alpy i Włochy. Stosownie do naszych

zamiarów pobytu w rozmaitych miastach, mieliśmy przyjechać do Neapolu za pięć miesięcy.

— A potem, co myślicie robić — zapytał Robert, wahając się?

— Potem — odrzekł mój wuj — Magdalena chce mnie zawieźć do Afryki, do Azyi, nie wiem sam gdzie, aby gonić za słońcem. Czemuż zresztą, nie mielibyśmy objechać całego świata!

— Czy nie pozwolicie nam przynajmniej uściskać was w Neapolu, zanim ulotnicie się na Wschód? — zapytała Ludwika.

— Może pozwolimy, jeżeli będziecie bardzo grzeczni — odpowiedział wesoło wuj wstając, aby odbyć codzienną swoją przechadzkę i prosząc Roberta, aby mu towarzyszył, ale ten odmówił.

Ludwika, bardzo zajęta ostatniemi przygotowaniami do mojej podróży, aby oszczędzić mi trudu, chodziła, wydawała rozkazy, nie przerywając z nami rozmowy, nakoniec jednak musiała, pójść do swego pokoju, aby napisać kilka listów a ja zostałam sama z Robertem.

Wokoło nas w jasnych promieniach słońca, kilka owadów brzęczało wesoło. Głęboka cisza i blady jesienny koloryt nieba wzbudzały pewien spokój w duszy.

— Kiedyż zobaczymy się znowu? — wyszeptał Robert.

— Ależ jutro — rzekłam, starając się uśmiechnąć.

— Tak, a potem?

Nie miałam odwagi, aby odpowiedzieć, patrzył na mnie smutnie nie odwracając oczów, jak gdyby chciał wyryć w pamięci jeden po drugim, wszystkie rysy mojej twarzy.

Pomiędzy kwiatami, które zdobiły teras, wielki bukiet wonnych groszków białych i różowych, oderwany wiatrem od balustrady, kołysząc się na giętkich łodygach, nachylił się ku otworzonemu oknu. Robert podał mi go i kiedy wyciągnęłam rękę, aby wziąć kwiaty schwycił moje palce i zatrzymując je długo, można było sądzić, że szuka w błękitnej sieci żyłek wytłomaczenia jakiejś bolesnej zagadki.

Potem schylając się nagle ku mnie i podnosząc oczy:

— Więc to byłem ja — rzekł tak cicho, że zaledwie mogłam go usłyszeć — mnie to kochałaś Magdaleno i odjeżdżasz i jesteśmy na zawsze rozdzieleni.

Chciałam zaprzeczyć, ale zdrętwiałe wargi nie pozwoliły mi wymówić słowa, zresztą czułam aż nadto dobrze, że odkrył moją tajemnicę, trudno było zatem przeczyć.

Cofnęłam rękę, którą jeszcze trzymał i ukryłam twarz w dłoniach.

— Czemu odwracasz głowę? — mówił głęboko wzruszony. — Czemu ukrywasz łzy przedemną? Dlaczego dłużej mamy się zwodzić wzajemnie? Ah! jakże straszną miałaś odwagę! Czemu nie przemówiłaś zanim wszystko stało się niepowrotnem? Jakże byśmy byli szczęśliwi, kochałem cię tak serdecznie. Gdybyś była zrozumiała całą siłę mego uczucia, nie śmiałabyś uczynić tego co uczyniłaś? O moja najdroższa, jakiemuż to nieznanemu bóstwu złożyłaś w ofierze szczęście mojego i twojego życia? Jakaż to fałszywa wielkość poświęcenia, upoiła, olśniła cię.

Ukląkł przedemną, ja płakałam a łzy moje płynęły obficie jakby uchodząc z nadto przepełnionego źródła, i padały kropla po kropli na jego włosy.

— Kiedy pomyślę — mówił dalej — że odjeżdzasz, że nie będę mógł widzieć cię i że do przepaści, która nas rozdziela dodałaś samowolnie torturę nieobecności, mam chęć przeklinać cię. W dniu w którym wyznałaś mi miłość dla innego, sądziłem, że podobne cierpienie nie dotknie mnie już nigdy na tym świecie, ale pomyliłem się. Stopniowo poznawałem prawdziwy stan rzeczy, słysząc wymawiane przez ciebie bez związku wyrazy w czasie maligny a zrozumiałe tylko dla mnie. Odgadłem heroiczne twoje szaleństwo a później kiedy widziałem jak bladła twoja piękność pod wpływem żalu, kiedy wielkość a zarazem słabość twego serca, objawiały się dla mnie, wtenczas, dopiero zrozumiałem co to jest cierpienie. Musiałem jednak milczeć, ukryć rozpacz, albowiem chciałem być godnym ciebie. Bóg jest moim świadkiem. Jeżeli mówię w tej chwili Magdaleno, to dlatego, że siły zdradziły mnie. Odwaga moja, również jak twoja jest wyczerpaną. Kocham cię namiętnie z całej duszy i mam cię utracić? Ah! przynajmniej raz połączmy łzy i serca nasze. Magdaleno, prawdaż to, że mnie kochałaś?

— Robercie! na Boga — zawołałam boleśnie — jestem słabą, nie korzystaj z mojej słabości, nie zabieraj mi ostatków własnego szacunku. Pozwól mi opuścić ten dom z czystem sumieniem, nie chcę rumienić się przed Ludwiką, przypominając sobie tę godzinę. W imię twojego honoru, zaklinam cię!

Chciałam wyrwać się z jego objęcia, ale zatrzymał mnie silnie.

— Nie odpychaj mnie — rzekł — mam dla ciebie głęboki szacunek. Czyż obraziłem cię kiedy, chociaż jednem słowem, czyż nie starałem się zapanować nad mojem uczuciem we wszystkich okolicznościach? Czyż nie udawałem obojętności uśmiechem i spojrzeniem, do tego stopnia, że aż byłaś zazdrosną, biedna ukochana. O nie zaprzeczaj! zrozumiałem wszystko, słyszałem każde westchnienie twego serca i co dzień kochałem cię więcej. Pozwól mi zostać chwilę u twoich nóg, nie pozbawiaj mnie tego smutnego i ostatniego szczęścia, nic więcej nie wymagam od ciebie.

— Robercie na miłość Boga wstań natychmiast. Czy nie słyszałeś jest tam ktoś na tarasie.

Powstałam drżąc z przestrachu bo zdawało mi się, że słyszę lekki szmer zgniecionych gałęzi pod oknem i że widzę rysujący się cień ludzkiej postaci na firankach.

— Nie ma nikogo, omyliłaś się — rzekł Robert przymuszając mnie, abym usiadła.

— Jednak, słyszałam szelest, powtórzyłam przerażona. — Gdyby to była Ludwika, lub który że służących.

— Droga moja, jakże drżysz — mówił Robert, obejmując okiem cały taras, aby mnie uspokoić.— Czyż sądzisz, że popełniłaś jaką zbrodnię? Nie! na czystą twoją duszę nie padła żadna skaza.

— Klęczałeś u moich nóg Robercie!

— Czegóż obawiasz się, nigdy nie ma nikogo o tej godzinie w tej stronie domu. Proszę cię, uśmiechnij się, twoje przestraszone spojrzenie martwi mnie. Czy sądzisz Magdaleno, że przyjdzie kiedyś dzień w którym będziemy mogli zobaczyć się bez niebezpieczeństwa, kiedy serca nasze stracą już ogień młodzieńczy? Czy sądzisz rzeczywiście, że kiedykolwiek, dłonie nasze będą mogły uścisnąć się bez drżenia i ze spokojem będziemy mogli wspominać o przeszłości jak rozbitki o burzy na oceanie, z której szczęśliwie uratowani zostali? Ah! nie łudzisz się tą nadzieją nieprawdaż Magdaleno i masz słuszność, że uciekasz ode mnie. Żyć razem a nie należeć jedno do drugiego, to przechodzi siły nasze. Walczylibyśmy jakiś czas i nakoniec pochwyciłbym cię w objęcia i powiózł z sobą do mej na wpół dzikiej ojczyzny, ukrywając szczęście nasze w głębinach dziewiczych lasów. Ah! Magdaleno! co za piękne marzenie, gdyby był czas jeszcze!

Długo mówił jeszcze w ten sposób, czasem spokojnie, czasem z uniesieniem, ale ostatecznie poddając się naszemu ciężkiemu losowi.

Powoli zaczęło ściemniać się i nadeszła godzina obiadu a wuj nie wrócił do domu. Służący uwiadomił nas, że wyjechał konno, dając rozkaz abyśmy nie czekali na niego z obiadem bo miał ważną sprawę do załawienia.

Nikt nie mógł nam powiedzieć w którą stronę pojechał i byliśmy nieco zdziwieni tą ważną sprawą, która tak niespodzianie oddaliła go od nas.

Mówiłam już, że Ludwika i Robert wracali wieczorem do Paryża. Ludwika była smutna, że nie mogła uściskać ojca przed odjazdem.

— Spotkała go zapewne jakaś przykrość—mówiła wsiadając do powozu. — Wyłaj go surowo ode mnie. Do jutra Magdaleno—dodała w chwili, kiedy konie ruszały zasyłając mi całus malutką białą rączką.

Biedna, kochana Ludwika! Obydwie nie przypuszczałyśmy wówczas, że pocałowałyśmy się po raz ostatni i że nigdy już nie miałyśmy się zobaczyć.

Zadumana, patrzyłam długo na powóz, który zniknął, przy zakręcie parku. Chłód i milczenie wieczorne oznajmiły mi nakoniec, że czas było wejść do domu. Czekałam do bardzo późna na mojego wuja, ale nie wrócił, to mnie zaniepokoiło, chociaż nie przeczuwałam czekającego mnie ciosu. Byłam tak zmęczoną, że nakoniec położyłam się prosząc pannę służącą, aby mnie uwiadomiła skoro tylko wuj powróci. Wkrótce usnęłam, nie wiem czy marzyłam, czy też słyszałam naprawdę, jak przyjechał do domu. Rzeczywistość mieszała się z marzeniem a spałam tak głęboko, że nie mogłam obudzić się. Bóg pozwolił mi tego chwilowego odpoczynku, jako przerwy między bólem przeszłości a gromem który uderzył we mnie kiedy otworzyłam oczy.

(D. c. n.)

PIOSENKA.

Rośnie róża obok okna,
Ku słonku się wdzięczy,
Niby piękna panieneczka,
Ku prześlicznej tęczy.
Zerwę ci ja jeden kwiatek,
Prześliczny, jedyny,
Zerwę ja go nie dla siebie,
Ale dla dziewczyny.
I gdy słonko się przebudzi,
Na niebo wypłynie,
Oddam kwiat ów na dobry dzień,
Młodziutkiej dziewczynie.
Tej nadobnej, tej uroczej,
Co różyczki kocha,
Ale przy tem, jak śmiem mniemać,
I mnie także trocha.

W. Chojecki.

SPRAWOZDANIE
w sprawie budowy Kościoła Wszystkich Świętych na placu Grzybowskim w Warszawie.

Wzbogacenie swe jedną z najwspanialszych świątynią pańską, której konsekracyi w dniu 31 z. m. ksiądz Popiel Arcybiskup Warszawskiej archidyecezyi dopełnił, miasto zawdzięcza inicyatynie Hr. Gabryelli z Gutakowskich Zabiełło, która pierwsza powzięła pobożny zamiar wybudowania kościoła Rzymsko-katolickiego pod wezwaniem Wszystkich świętych na placu Grzybowskim i na ten cel obszerną swoją przy tym placu posesyę Nr 1084, oraz kapitał w sumie rs. 12,000 zaofiarowała.

Darowizna ta z Najwyższego zezwolenia, w roku 1856 przez J. O. księcia Gorczakowa, ówczesnego Namiestnika Królestwo zaakceptowaną została.

Ustanowiony w roku 1859, z upoważnienie b. Komisyi Spraw Wewnętrznych i Duchownych, komitet pod prezydencyą biskupa sufragana Warszawskiego ks. Dekerta, z otrzymanych w drodze konkursu projektów, wybrał projekt budowniczego Marconiego, lecz gdy obszerność zaprojektowanej podług tego projektu świątyni na 3,000 osób uznaną została za niedostateczną, budowniczy Marconi na żądanie komitetu sporządził nowy projekt budowy kościoła na 5,000 osób z urządzeniem kościoła dolnego na 3,000 osób.

Ten ostatni plan budowy kościoła, w stylu włoskim odrodzenia (tak zwanem weneckim z XVI wieku), na podobieństwo kościoła św. Justyny w Padwie, w roku 1860 przez b. komisyę rządową spraw wewnętrznych i duchownych zatwierdzony, i do wykonania na gruncie zakwalifikowany został.

Podług tego projektu długość kościoła górnego wynosi 138 łokci, szerokość wewnętrzna w murach 51 łokci, w ramionach kościoła 70 łokci, wysokość do wierzchu gzemsu 45 łokci, wysokość wież 96 łokci.

Fundamenta pod kościół dolny, mury kościoła i wieże, zaczęto kopać w miesiącu kwietniu 1861 roku, robotę mularską rozpoczęto dnia 8 czerwca 1861 roku, po położeniu pierwszej cegły przez biskupa sufragana księdza Dekerta.

W tej pierwszej epoce budowy kościoła, która prowadzoną była bez przerwy, do jesieni 1862 r. wzniesiono mury do wysokości tymczasowego dachu, oraz urządzono sklepienia w dolnym kościele i filary oddzielające nawy w kościele górnym.

Z powodu śmierci prezydującego księdza biskupa Dekerta, wyczerpania gotowych funduszy i ówczasowych nieporządków w kraju, dalsza budowa została przerwaną. Dopiero w roku 1866, skutkiem erygowania nowej parafii Wszystkich świętych, z rozporządzenia ówczasowego namiestnika hr. Berga przystąpiono do ukończenia robót około wewnętrznego urządzenia kościoła dolnego, który w dniu 1 listopada 1866 roku służbie Bożej poświęcony został.

Kościół ten atoli, mogący pomieścić w teraźniejszej swej obszerności 2,000 osób, okazał się dla potrzeb parafii liczącej podówczas 16,000 ludności niewystarczający, za staraniem przeto ówczesnego prezydenta miasta wice-prezesa komitetu jenerała Witkowskiego, namiestnik hr. Berg wyznaczywszy z funduszów w rozporządzeniu jego będących sumę rs. 47,992, upoważnił komitet do prowadzenia na rachunek tego funduszu dalszych robót, celem jak najrychlejszego otworzenia górnego kościoła.

Z energią wzięto się do tego dzieła, w przeciągu czasu od miesiąca czerwca do listopada 1867 roku, wymurowano ściany okolne naw, równo z wierzchem gzemsu górnego piętra, podniesiono filary oddzielające nawy, zasklepiono 4 arkady poprzeczne nawy głównej i urządzono nad tą częścią kościoła stały dach. Oprócz tego wykończono mnóstwo innych wewnętrznych robót, jakie były niezbędne do urządzenia w górnym kościele nabożeństwa.

Pierwsze nabożeństwo w tak urządzonym tymczasowo kościele, po dopełnionej przez ówczasowego dziekana księdza Metelskiego benedykcyi, w dniu 19 listopada (1 grudnia) 1867 r. odprawione zostało.

Po tej gorączkowej energii nastąpiła w prowadzeniu robót długa przerwa trwająca lat 7, która dopiero w 1874 r. po otrzymaniu ze skarbu nowych na dalsze koszta budowy funduszy, przerwaną została.

Od owego czasu aż dotąd prawie bez przerwy roboty ciągle się prowadzą i doprowadzone zostały do tego stanu, w jakim dziś świątynia się ta przedstawia.

Pierwszym zawiązkiem funduszów na budowę kościoła Wszystkich świętych, był wspomniany zapis hr. Zabiełło w sumie 12,000 rs. powiększony w roku 1861 darem 10,000 rs. Najjaśniejszego Cesarza Aleksandra II-go.

Korzystając z udzielonego w r. 1859 przez władzę krajową pozwolenia, komitet zajął się zbieraniem ofiar w całym braju i w mieście Warszawie, za pomocą kwitaryuszy władzom powiatowym i gminnym rozesłanych i książeczek do zbierania ofiar wielu tutejszym osobom doręczonych. Tą drogą do roku 1862 zebrano 23,545 rs, a wogóle aż do chwili zamknięcia w tym roku robót, komitet posiadał w swem rozporządzeniu sumę 58,056 rs. 89 kopiejek.

Urządzona w roku 1879 przez pośrednictwo pobożnych pań tutejszych wielka kwesta po domach w mieście, dostarczyła funduszom kościoła 42,150 rs. 7 kop.

Z ofiar drobnych zbieranych do skarbon kościelnych zebrano 18,683 rs. 30 kop. z ofiar przez pośrednictwo redakcyi pism składanych 4,792 rs. 60 kop.

Biskup sufragan Augustowski b. proboszcz parafii Wszystkich świętych ksiądz Hollak z ofiar na ręce jego składanych ukwestował przeszło 25,000 rubli.

Trudno byłoby w krótkiem niniejszem pobieżnem sprawozdaniu wymieniać wszystkich pobożnych ofiarodawców, którzy ofiarami swemi, częstokroć w ilości kilku tysięcy rubli na raz jeden uczynionemi, przyczynili się do budowy kościoła.

W liczbie wielu tą drogą otrzymanych ofiar i legatów na szczególną wzmiankę zasługuje ofiara ś. p. Pauliny z Palusiewiczów Dąbrowskiej, która znajdując się w stanie bardzo średniej zamożności wykonała przy kościele, szczególniej też około pobudowania kaplicy na swój wyłącznie rachunek roboty w wartości 12,435 rs. i na ich dokończenie testamentem sumę 10,060 rs. zapisała.

Podobnyż znaczny dar w sumie 20,000 rs. komitet otrzymał od hr. Zdzisława Zamojskiego, który, jak szanowny ofiarodawca objaśnił, uczyniony został w spełnieniu woli zmarłego jego brata Stanisława.

Tej chojnej ostatniej ofiarze na dokończenie, budowy wielkiego ołtarza, wykończenia robót około urządzenia prezbiteryum i pobudowanie jednego z ołtarzy bocznych w ramionach krzyża specyalnie przeznaczonej, komitet zawdzięcza przyspieszenie dzisiejszej uroczystej konsekracyi kościoła.

W ogólności z drobnych i znaczniejszych ofiar legatów i zapisów przez osoby prywatne poczynionych, komitet otrzymał w gotowiznie pod koniec miesiąca października r. b. 264,909 rs. 88½ kopiejek.

Lecz mimo tej ujawnionej prywatnej ofiarności, zapewnie jeszcze bardzo długo niebyłoby można cieszyć się widokiem tej wspaniałej swoim ogromem świątyni Pańskiej, gdyby tych pobożnych chęci i dążności nie wsparła potężna opieka i pomoc rządu.

Oprócz wyżej wspomnionych, z daru Najjaśniejszego Pana otrzymanych . . . rs. 10,000 k. —

Komitet otrzymał:

a) w roku 1867 z rozporządzenia Namiestnika hr. Berga . . . rs. 47,992 k. 76

b) z funduszów przez Ministerstwo spraw wewnętrznych w latach 1874, 1875, 1877 i 1878 wyznaczonych . . . . rs. 106,800 k. 80

w ogóle rs. 164,793 k. 56

Dochód ogólny z zasiłków rządowych i ofiar prywatnych wynosi rs. 429,703 kop. 44½ i takiej też sumy, po zaspokojeniu reszty należności za roboty około budowy wielkiego i bocznego ołtarzy, ogólne wydatki dosięgną.

Podług technicznych obliczeń, do zupełnego wewnętrznego i zewnętrznego ukończenia w całej okazałości budowy kościoła z wszelkiemi przyozdobieniami, z pobudowaniem domów nowych na mieszkanie duchowieństwa i służby kościelnej, tudzież przyozdobieniem placu kościelnego, potrzeba będzie jeszcze około 232,000 rs.

Za rzecz najpilniejszą uważa się wykończenie i przyozdobienie ściany frontowej kościoła i bocznych portyków, urządzenie schodów na froncie kościoła, postawienie wież z zakupieniem dzwonów i urządzeniem zegara wieżowego.

Na roboty te potrzebnym jest fundusz w sumie 95,000 rs., zebranie którego będzie przedmiotem dalszych starań i prac komitetu, który nie wątpi, że zamiary jego przyozdobienia tej świątyni w piękne architektoniczne kształty, przez ogół pobożnych mieszkańców poparte zostaną.

Nakoniec objaśnia się, że budowa wielkiego ołtarza, wykonaną została podług projektu i pod kierunkiem pracującego przy budowie kościoła Wszystkich świętych od samego rozpoczęcia robót, budowniczego Zygmunta Kiślańskiego.

Szczegółowe roboty przy tej budowie wykonali: mularskie majster mularski Czosnowski, kamieniarskie zakład kamieniarski Boskiego pod firmą Sikorskiego, rzeźbiarskie przy Cyboryum Chylkiewicz, i około modelowania i odlania figur świętych i proroków, artysta-rzeźbiarz Pruszyński, pozłotnicze fabryka ram złoconych Sułkońskiego, sztukatorskie i mozajkowe zakład sztukatorski Martiniego, ciesielskie około urządzenia rusztowań bracia Bevense.

W ogóle budowa ołtarza, licząc w to koszt zakupienia 2-ch obrazów Zmartwychwstania Chrystusa Pana pędzla Siemiradzkiego i obrazu Wszystkich świętych pędzla Wojciecha Gersona, kosztować będzie 18,298 rs. 50 kop.

Obraz Chrystusa Pana na krzyżu Trevisaniego

pochodzący z daru hr. Augustowej Potockiej, do wydatków się nie zalicza.

Wydatki te są już lub będą jeszcze pokryte na rachunek następujących funduszy:

a) Sumy 8,050 rs. ofiarowanej przez jedną z pań tutejszych, która nie życzyła sobie nazwiska swego ujawniać, z przeznaczeniem takowej wyłącznie na budowę wielkiego ołtarza, sprawienie Cyboryum i obrazu Siemiradzkiego.

b) Na rachunek funduszu 635 rs. zebranego przez biskupa sufragana księdza Hollaka, specyalnie na koszta wymalowania do wielkiego ołtarza obrazu Wszystkich świętych, i

c) Nakoniec na rachunek sumy 20,000 rs. przez hr. Zdzisława Zamojskiego zaofiarowanej, z której kwota 9,613 rs. 50 kop. na pokrycie reszty kosztów budowy wielkiego ołtarza, użytą zostanie.

Warszawa, dnia 1 listopada 1883 r.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Ustrzedni knikowna (Biblioteka wyborowa). Redaktor Frantiszek Zakrejs. Balady Adama Mickiewicza, przeložil Jan Neczas. V Praze u Kabrova. Zeszyt 94—95.

Dziś znowu zanotować wypada nam nowe to wydawnictwo pobratymców naszych Czechów, Balady powyższe, wydane zostały w „Bibliotece wyborowej" wydawane przez prazkiego księgarza J. L. Kabrova. Wydawnictwo to rozpoczęte jeszcze w czerwcu 1881 roku, wychodzi w poszytach po cenie nader nizkiej, bo 10 centów (6 kopiejek kursu nominalnego). Tak druk jak i papier jest więcej niż zadawalniający a nawet powiemy wykwintny.

Neczas znany tłomacz polskich autorów, jak: Syrokomli, Odyńca, Ujejskiego i t. d. Obecnie wydane tłomaczenie „Ballad Mickiewicza" jest wzorowe i z wielką dokonane wiernością. W zbiorze tym pomieszczonych jest czternaście ballad. Prawdziwie cieszyć się nam należy, że utwory naszego wieszcza w p. Neczasie tak dzielnego i gorliwego znalazły tłomacza.

Mazur F. K. O przednówku i spichlerzach gromadzkich. Warszawa 1883 r.

Druga już z rzędu książeczka napisana przez F. K. Mazura, a poświęcona ludowi wyszła świeżo nakładem młodej a wielce ruchliwej firmy księgarskiej T. Paprockiego i S-ki w Warszawie. Pierwsza jakeśmy to w swoim czasie pisali, obejmowała opowiadanie: „O karczmie", druga zaś mówi „O przednówku i śpichlerzach gromadzkich.

W broszurce tej p. Mazur przystępnym sposobem wykłada potrzebę zakładania spichlerzy gromadzkich, przyczem podaje sposób zaprowadzania tychże. Wykład jest nietylko przystępny dla czytelników z pod słomiannej strzechy ale i bardzo zrozumiały. Gorąco wypowiedziane słowa we wstępie i w zakończeniu, jako też i sama treść tejże, życzyć należy, aby znalazły oddźwięk w sercach czytelników i sprawiły, iżby stara lecz świeżo poruszona myśl śpichlerzy gromadzkich weszła w wykonanie i znalazła gorące poparcie, przez wszystkie stany zamieszkujące wsie i osady.

Broszurka pomieniona zasługuje na jak największe rozprzestrzenienie jej między ludnością wiejską i w tem też celu polecamy ją tak szanownemu duchowieństwu jak i właścicielom większych posiadłości.

Baraniecki M. A. Dr. Biblioteka matematyczno-fizyczna wydawana z zapomogi kasy pomocy naukowej imienia Józefa Mianowskiego, (odbitka z „Nowin").

Jest to dosyć obszerne sprawozdanie i objaśnienie programu powyższego wydawnictwa, w którym przedstawione są dzieje takowegoż, oraz rozwój myśli, która kierowała do podjęcia tego wydawnictwa.

Ze sprawozdania tego dowiadujemy się, iż Biblioteka matematyczno fizyczna składać się będzie z czterech seryi: 1-sza poświęcona wychowaniu początkowemu, 2-ga obejmie ogólne kursy wychowania średniego niższego stopnia, 3-cia wychowanie średnie jednostopniowe, 4-ta ogólne kursy nauki wyższej, tak uniwersyteckiej jak i szkół specyalnych.

Jako współpracownicy figurują tu oprócz d-ra M. A. Baranieckiego, pp. J. Badowski, M. Berkman, J. Białek, G. Chmielewski, J. N. Franke, W. Gosiewski, J. Jędrzejewicz, S. Kramsztyk, E. Poznański, J. Ptaszycki, J. Słowikowski, J. Sochacki, E. Szpaczyński, D. Wierzbicki, A. Witkowski i L. Wojno.

W druku są obecnie z seryi I szej tom pierwszy: Początki arytmetyki Michała Berkmana, z seryi III tom pierwszy Arytmetyka kurs teoretyczny Maryana Baranieckiego, z seryi IV-ej tom drugi Rozwiązanie równań liczebnych Juliana Sochackiego i tom IV Geometryą analityczną Wład. Zajączkowskiego.

Flisacy. Opowiadanie. Warszawa, 1883 r.

Czwarta to z rzędu broszurka wydawnictwa ludowego jakie podjęła firma p. Teod. Poprockiego i S-ki, obejmująca obok żywo i barwnie nakreślonego obrazka z życia flisaków, także i życiorys Sebastyana Klonowicza wraz z wypisami celniejszych utworów tego poety, bardzo trafnie wybranych. Cena kop. 7½.

Wł. Kor. Zieliński.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 listopada 1883 r.

Od początku października zaczęły się po wielkich magazynach wystawy mód zimowych i nie skończyły dotąd, w każdym tygodniu pojawia się jakaś nieznana jeszcze nowość, ogólny jednak charakter mody zupełnie jest określony. Uderza w nim szczególniej prostota złączona z powagą, jakiej nie widzieliśmy od lat wielu. Kolory ciemne powszechnie przyjęte na suknie i płaszczyki, nie mówiąc już o czarnym który przeważa nad innemi. Do najmodniejszych należą kolory: ciemno popielaty *gris ardoise*, tabaczkowy, ciemno granatowy, wydrowy *loutre* i ciemno morderowy.

Mamy przed sobą wielki dobór próbek różnych tkanin wełnianych z magazynu *Bon Marche.* Są to korciki i sukienka bardzo miękie, serże, wigonie i szewioty. Jedne z nich zupełnie gładkie, inne w drobną kratkę, inne w paski lub drobne punkciki, inne znów mienione w dwóch ciemnych kolorach jak morderowy z granatowym, złotawy z ciemno tabaczkowym, popielaty z czarnym. W ogólności paski i kratki bardzo niewydatne, ciemne zazwyczaj na tle ciemnem, złożone z drobnych prążków, tak że na pierwszy rzut oka tkanina wydaje się być gładką. Do ubrania tych sukien, używany zwykle plusz z krótkim włosem, lub aksamit, odpowiedni do koloru przemagającego w tkaninie.

Do strojniejszych cokolwiek sukien, należą kaszmirowe lub wigoniowe, zahaftowane sznelą w drobny rzucik, tło zazwyczaj popielate, granatowe lub czarne, rzucik na tem w półksiężyc, w małe kotwiczki, w gwiazdki lub groszek, koloru *caroubier*, złotawego i t. p. Mnóstwo takich gotowych spódnic widzimy po magazynach. U dołu mają szeroki wolant w kontrafałdy, nad nim draperya namarszczona tworzy z przodu feston w kształcie fartuszka, w tyle zaś puff bardzo rozniesisty.

Do takiej spódniczki, miejsce stanika zastępuje trykotowy *Jersey*, ogarnirowany pluszem lub pasmanteryą sznelową. Noszą też powszechnie kaftaniczki aksamitne, gładkie lub przerabiane w deseń aksamitny, na tle *gros grin*, ogarnirowane frendzlą albo pasmanteryą sznelową.

W ogólności sznela stanowić będzie tej zimy panującą modę. Zastosowano ją do wszelkich przedmiotów ubrania.

W magazynie pod firmą *Brie et Jeoffrin*, widzieliśmy bardzo ładne kapelusze z tkaniny szneIowej, w kolorach stalowym, wydrowym i czarnym. Rondka u nich małe, główki średnich rozmiarów. Zwykłą ozdobę stanowi pęczek piór strósich, wpięty z boku, w tymże samym jak kapelusz kolorze niekiedy dodana do tego egretka w jaśniejszym odcieniu, naprzykład złotawa, *viel or* do piór brązowych, lub koloru poziomkowego do piór popielatych. Końce do wiązania, zazwyczaj atłasowe, nie zbyt szerokie.

Widzimy też mnóstwo pelerynek sznelowych sięgających do pasa, podniesionych w górę na ramieniu, obszytych u dołu frendzlą.

Takież same pelerynki z futra wydry albo popielatych królików, ukazały się w wielkiej liczbie po magazynach, do nich zastosowane są mufki małych rozmiarów.

Panie Kuhnke będąc w Paryżu przed miesiącem, wyprawiły ztąd w okolice Kijowa, parę pięknych sukien do większego ubrania i dwa zimowe kostiumy, dajemy tu ich szczegółowy opis.

Suknia przeznaczona na wieczór lub proszony obiad, składa się z atłasu gładkiego w kolorze miedzianym *cuivre* i z brokateli tegoż koloru, przerabianej w deseń barwy pistacyowej. Spódniczka atłasowa, ma u dołu dwie wązkie plisowane falbaneczki, nad niemi trzecia z koronki w rodzaju alansońskiej. Powyżej przechodzi od prawego boku do lewego, bogata draperya z brokatelli. Po prawej stronie spódnicy, spada do dołu, bryt aksamitny, przybrany wzdłuż trzema kokardami ze wstążki atłasowej, końce wstążki obszyte frendzlą sznelową. Tylne bryty z brokatelli, tworzą dosyć długi tren, przyfałdowany do stanu, na trzy wielkie kontrafałdy, przez sam środek spąda szeroki pas aksamitny, przytwierdzony wielką atłasową kokardą, z końcami objętemi frendzlą sznelową. Stanik ma przody aksamitne z podwójnym bawetem, ściętym czworograniasto, boki i plecy z brokatelli, przedłużone w tyle, tworzą również dwa ścięte zęby. Rękawy sięgają tylko do łokcia, zakończa je wolant z koronki alansońskiej, przybrany atłasową kokardą, na ramionach epolet z frendzli sznelowej.

Drugi kostium wizytowy, z materyi w drobny arabesk, w dwóch odcieniach brązowych i z gładkiego atłasu *merveilleux*, tegoż koloru. Spódniczka gładka do ziemi, ma u dołu szeroki wolant w arabesk, objęty na trzy cale atłasem, układany w wielkie kontrafałdy. Na obie strony rozchodzą się bufiaste draperye, ułożone fantastycznie, pomiędzy niemi, wzdłuż przodu, spada na spódnicę, szeroki pas z atłasu, przymarszczony kilkanaście razy w górze, dalej puszony wolno i przytwierdzony w końcu, a tem samem tworzący buffę. Z pod końca wybiega frendzla sznelowa, przetykana perłami brązowemi. Tylne bryty układane w kontrafałdy, odstają mocno na turniurze. Przechodzi przez nie takiż sam pas przymarszczony zakończony frendzlą, jaki widzimy na przodzie spódnicy. Stanik do tego marszczony, obciśnięty paskiem, z pod którego od boków do przodu wychodzi falbana, objęta atłasem na trzy cale. Od szyi przez cały przód stanika, spada znów pas atłasowy, zakończony frendzlą i tworzy jakby plastron. Takiż pas idzie przez plecy, łączy się z puffem poniżej stanu. W górze stanika podwójna fryzka z atłasu i materyi, podgarnirowana koronką śmietankową. Rękawy bufiaste u ramienia, z materyi w deseń, sięgają ledwie do łokcia, niżej idzie marszczony atłas, zakończony klapką w deseń i koronką.

Dwa kostiumy wełniane do mniejszego ubrania, odznaczają się również wytwornym gustem.

Pierwszy z nich z gładkiej serży popielatej. Spódnica ciemniejsza, z wolantem w wielkie kontrafałdy. Z pod spodu wychodzi wązka plisowana falbanka atłasowa. Nad wolantem, draperya z jaśniejszej serży, w rzut z ciemniejszych gałązek, tworzy z przodu feston w kształcie fartuszka, w tyle puff rozniesisty. Draperya łączy się z prawego boku, szerokim słupem, zachodzącym prawie do dołu spódnicy, słup ten naszyty *en brandeboury* pletnią i sznureczkiem stalowym. Stanik w formie żakietki, z serży w deseń, z przodu ma kamizelkę gładką, spiętą na oksydowane guziki, w tyle karoczko złożone z czterech klapek naszytych pletnią i sznurkiem. Rękawy bufiaste od ramion, kończą się u ręki mankietem, szamerowanym odpowiednio.

Drugi kostium z wigoniu w wydrowym kolorze, u dołu szeroki wolant, układany w wielkie kontrafałdy, przedzielone drobnemi plisami. Na każdej kontrafałdzie, naszyte rzędem po cztery pastyle aksamitne, w ciemniejszym kolorze. Draperya tworzy z przodu fartuszek, w tyle spada w rzęsistych fałdach, u dołu tej draperyi, ciągną się aksamitne pastyle. Stanik długi, zachodzący na boki, ozdobiony odpowiednio. Przody otwarte, z pod spodu wygląda aksamitna kamizelka.

Widzieliśmy podobną suknię czarną, z jedwabnej Sycylianki, miejsce aksamitnych pastyl zastępowały rozety z pasmanteryi, przerabiane dżetem.

Plastrony wszelkiego rodzaju zasłaniające przód stanika, wielkiej używają wziętości. Robią je z białej koronki, nagarnirowane fantastycznie, ozdobione wstążką w bladych odcieniach. Wiele też widać czarnych, z tiulu naszytego dżetem, z czarną fryzką do koła szyi. Najmodniejsze plastrony z siatki sznelowej, w rozmaitych kolorach, przybrane wstążką odpowiednią. Plastron taki przechodzi zawsze poniżej stanu, u dołu kończy się frendzlą sznelową. Przypasują go zwykle paskiem, spiętym na metalową sprzączkę.

Siatki sznelowe czarne do pokrycia włosów, zaczynają się coraz częściej pokazywać. Przytwierdzają je do włosów wielkiemi szpilkami dżetowemi.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** „Dziennik dla wszystkich" podaje opis szlachetnego, prawdziwie bohaterskiego narażania własnego życia, dla ocalenia innych.

Dnia 24 z. m. kilkanaście osób przeprawiało się promem przez Bug pod Wyszkowem. Połowę rzeki prom przepłynął szczęśliwie, ale nader silny prąd wody na środku, tak go przechylił, że znajdujący się na nim podróżni wpadli w rzekę. Wszyscy stracili przytomność i byliby znaleźli śmierć w falach, gdyby nie młody wieśniak, który wdrapawszy się napowrót na prom, zrzucił z siebie co prędzej zwierzchnie ubranie i wskoczył do wody ratować tonących. Siedmnaście razy z kolei rzucał się w nurty rzeki i wyratował siedmnaście osób a gdy obywatele miasta, którzy dowiedziawszy się o wypadku przybiegli na wybrzeże, złożyli dla niego trzysta rs. jako nagrodę, dzielny wieśniak odrzucił ją z oburzeniem i zaproponował aby sumę tę rozdzielić pomiędzy rodziny trzech topielców, których już nie mógł uratować. Dzielny ten i szlachetny wieśniak nazywa się Wincenty Krzepiński i jest synem zamożnego włościanina z Broku.

Zasłużył on i powinien otrzymać *złoty medal* za ratowanie tonących.

*** Teofil Lenartowicz wykończa „Parnas poetów polskich". U szczytu wznosi się nieśmiertelny Adam Mickiewicz, z zadumą spoglądający w przyszłość. Każdy z nas był tam przez chwilę, on jeden pozostał na wieki", słowa te tłomaczą wyniesienie postaci jego po nad inne. W koło wieszcza rozstawieni są jego mniej więcej szczęśliwi rówieśnicy. Brodziński w mundurze wojskowym stoi przy armacie; Zaleski prowadzony przez chłopczyka, trzyma w ręku bandurkę; Pol z sumiastemi wąsami, kuje tablicę; Słowacki sam wkłada sobie wieniec na czoło; Krasiński odwraca się od dzieci bawiących się nożem. Po za Mickiewiczem stoi Goszczyński, przedstawiony alegorycznie. Oprócz tej grupy, wieszcz-snycerz rozpoczął piękną pracę, przedstawiającą Sokratesa kującego skrzydło dla Psyche, oraz artystycznie wykonane popiersie Mickiewicza.

*** Dnia 24 z. m. w południe, w polskim kościele Wniebowzięcia N. M. Panny w Paryżu, odbył się ślub panny Heleny Góreckiej, wnuczki Adama Mickiewicza, z p. Józefem Modlińskim, właścicielem dóbr w Królestwie Polskim. Kościół zapełnili licznie zaproszeni goście, w gronie których znajdowało się kilku żyjących jeszcze przyjaciół zgasłego wieszcza, a w ich liczbie sędziwy śpiewak Ukrainy Bohdan Zaleski. Przed rzęsisto oświetlonym, w palmy i kwiaty przybranym ołtarzem Matki Boskiej Częstochowskiej, przemówił do młodej pary wymowny kaznodzieja ks. Deryng, poczem w otoczeniu kilku kapłanów polskich, dozgonnym węzłem połączył oblubieńców. Podczas Mszy św. odprawionej przez ks. Witkowskiego, śpiewał chór doskonałych śpiewaków z kościoła św. Magdaleny.

Od ołtarza odprowadzał pannę młodą Bohdan Zaleski. Po powrocie do domu matki młodej pani, sędziwy wieszcz przemówił życząc młodej parze powodzenia, błogosławieństwa i wszelkich łask Bożych, dodając ze łzą w oku i z żywem rozrzewnieniem: „Na trzecie to już patrzę pokolenie: byłem na ślubie Adama, później na ślubie córki jego, pani Góreckiej, matki dzisiejszej pani młodej, a oto dziś mam jeszcze szczęście być na weselu wnuczki mojego ukochanego, prawdziwego przyjaciela..." Zamilkł czcigodny starzec, opuścił głowę na piersi i zadumał się głęboko... Obecni z niewymownem rozrzewnieniem patrzyli na starca, który ostatni już prawie pozostał z owej plejady wieszczów, jacy na początku tego wieku tak świetnie zajaśnieli.

*** „Fremdenblatt" donosi, że nowa ustawa przemysłowa, przyznaje kobietom w zakresie przemysłowym prawo głosowania. Przy uchwałach korporacyjnych, mianowicie te kobiety, które jako wdowy lub spadkobierczynie prowadzą jakieś rzemiosła, mają też same prawa co mężczyzni. Przy nowych wyborach na starszych, faktycznie dawały już kobiety głosy swoje na odpowiednich kandydatów, jednak zachodzi wątpliwość, czy same mogą być wybierane. Koła rzemieślnicze wiedeńskie odniosły się do magistratu, o stanowcze rozwiązanie tej kwestyi.

*** Już na 2697 lat przed Chrystusem znane były w Chinach bilety bankowe, zwane „pieniędzmi latającemi". Początkowo wydawał je skarb chiński, następnie banki prywatne pod kontrolą rządu. Jeden z takich biletów pochodzący z roku 1399 przed erą chrześciańską, ma się znajdować w Petersburgu, w muzeum azyatyckiem. Nie wiele się różni od teraźniejszych biletów bankowych, jest data emissyi, numer biletu, podpis urzędnika, wyszczególnienie wartości w liczbach, literach i znakach, oprócz tego przytoczone są przepisy o karach na fałszerzy biletów.

*** Paryzka Akademia nauk otrzymała z Buenos Ayres ciekawe sprawozdanie o hodowaniu i zbieraniu chininy w Boliwii. Wiadomo, że bezmierna eksploatacya lasów chininowych w południowej Ameryce, kazała się obawiać zupełnego wyniszczenia drzew posiadających tak drogocenną korę, niczem niedającą się zastąpić pod względem lekarskim. Obawa ta dała powód zaprowadzenia plantacyi chininy na wyspie Jawie i w innych miejscowościach. Chinina ta sprowadzaną jest obecnie do Europy, lecz jest znacznie gorszą od amerykańskiej.

W ciągu ostatnich lat dziesięciu, zaczęto chodować najlepsze gatunki chininy na ogromnej przestrzeni w Boliwii, w górach, gdzie pozakładano mnóstwo szkółek. W siedmiu wioskach posadzono tam już około czterech milionów drzew chininowych. Drzewa te utrzymują się od lat 10 do 15, zbierają z nich 6 do 8 procent kory świeżej, która sprzedaje się na miejscu, odnośnie do gatunku, od 4 do 8 franków za kilogram. Chinina boliwijska, daje od 30 do 50 siarczanu chininy i płaci się na miejscu 6 fr. 40 cent., a w Paryżu 10 do 12 franków, co nie jest zbyt drogo, ze względu kosztów transportn. Gdyby można było zastosować do zbierania chininy sposób używany przy zdejmowaniu kory z dębów, wydałoby to nader zbawienne następstwa.

*** Na terrytoryum indyjskiem, w Tahlequah, w Stanach Zjednoczonych, istnieje jedyny w tym rodzaju zakład, którego zadaniem jest kształcenie missyonarzy z pośród „Czerwonoskórych".

W ostatnim roku szkolnym, zakład ten liczył 68 immatrykułowanych uczniów, a pomiędzy niemi

53 z plemienia Cherokees, 5 Delawarów, 2 Chocktawów a 8 białych. W liczbie uczęszczających do zakładu znajdowało się 12 dziewcząt. Ze szkołą wyższą połączona jest szkoła przygotowawcza w której uczą kilku języków europejskich, łaciny, geologii, jeografii fizycznej i t. p. Kandydaci teologii utrzymanie i naukę pobierają kosztem skarbu. Zarząd zakładu powierzony jest dziewięciu mężom zaufania, w ich liczbie znajduje się pięciu Indyan. Według urzędowego sprawozdania, uczniowie zakładu są bardzo pojętni i znaczne w naukach zrobili już postępy. Samo miasto Tablequah, powstałe dopiero przed kilku laty, już obecnie posiada kilka kościołów, miejscowy dziennik i kilka pożytecznych zakładów.

*** Niedawno na Tamizie (około Greenwich), odbywała się próba łodzi wprawianej w ruch za pomocą elektryczności. Łódź ta 40 stóp długa, zbudowana jest z galwanizowanej stali, motor wyrobiony w zakładach Siemens'a i cały mechanizm pomieszczony jest w tyle łodzi. Na zwyczajnych statkach, maszyny i przyrządy zajmują najważniejszą i najlepszą część statku, na tej zaś łodzi nie widać innego mechanizmu prócz rudla, i choć może pomieścić 40 pasażerów, jednego tylko człowieka wymaga do kierowania. Podczas próby płynęła nie przechylając się prawie na żadną stronę, a szczególną zwracał uwagę zupełny brak dymu, kapitanowie okrętów spotykających tę łódź, wysyłali majtków z zapytaniem: gdzie umieszczony jest komin do odprowadzania dymu. Przestrzeń od Greenwich do Tyle, łódź przebyła w trzy kwadranse. Wynalazcy tej łodzi utrzymują, że może ona wielkie oddawać usługi w celach wojennych, ponieważ płynie cicho żadnego nie wydając szmeru i jeźli tylko jej akumulatory są napełnione, każdej chwili może być gotowa do drogi. Próba wypadła wogóle zupełnie zadawalniająco, wykazując wielką pożyteczność łodzi elektrycznej.

*** Na londyńskiej wystawie rybołówstwa, zwracają uwagę zwiedzających najrozmaitsze yachty parowe, żaglowe, łodzie i tak zwane „Life boats" służące do ratowania rozbitków na brzegach Wielkiej Brytanii, a odznaczające się genialnością konstrukcyi, oraz zaopatrzone we wszelkie sygnały, przyrządy alarmowe i różne aparaty tak doskonałe, że nie szkodzą im bałwany najbardziej wzburzonego morza. Największą budzą ciekawość dwa statki kauczukowy i tak zwany portfel. Pierwszy, dający się zwinąć, zaopatrzony jest w szkielet z lekkiego drzewa, kieruje się nim równie łatwo jak zwyczajnemi statkami. Statek portfel odznacza się doskonałym pomysłem, ma kształt wielkiej księgi in folio i z łatwością można go nosić pod pachą. Jeźli się chcę przepłynąć rzekę lub odbyć przejażdżkę po morzu, portfel zamienia się z łatwością na łódź dość dużych rozmiarów, w której można usiąść wygodnie i wiosłować bezpiecznie. Statek ten składa się z cienkich deseczek nadzwyczaj szczelnie do siebie przystających i dozwalających się składać, łącznie z futerałem waży niespełna dwanaście funtów.

*** Pan Trylski, redaktor „Gazety Rolniczej" podaje w niej nader łatwy i tani sposób oczyszczania najmętniejszej wody.

„Kupić w aptece „Liquor ferridesqi chlorati", jest to płyn przezroczysty, brunatno czerwony. Na garniec wody należy wziąć pięć kropli i wlawszy mieszać drewnienkiem lub piórem, w skutku czego tworzy się kłaczkowaty osad wodanu żelaza i ten opadając pociąga za sobą na dno wszelkie zawarte w wodzie nieczystości. Dla dokładniejszego oczyszczenia trzeba w ciągu dnia wodę kilka razy zamieszać. Po ustaniu się wody zlewa ją się do innego naczynia. Smak wody nic nie traci na dodaniu chlornika żelaza, gdyż chlor w wodzie łączy się z sodem, tworząc sól kuchenną, a żelazo osiada w zupełności w kształcie wodanu żelaza. Jeźli woda jest zbyt miękką, można dodać trochę sody. Gdy woda nie jest zbyt zanieczyszczoną, można wlać płynu jedną lub dwie krople mniej, w razie przeciwnym, kroplę lub dwie więcej — zresztą sama praktyka nauczy niebawem, wiele roztworu dolewać do wody."

NOWE WYDAWNICTWA.

Metoda niemiecka Platona v. Reussnera w edycyi pierwszej znalazła dobre przyjęcie i doczekała się wkrótce drugiej edycyi. Zeszyt I i II powyższego dzieła opuścił już prasę, a całe dzieło w nowej edycyi znacznie powiększone i ulepszone, różni się od innych podobnych podręczników tem, że mieści w sobie wszelki materyał potrzebny przy nauce języka i nie potrzeba już żadnych książek pomocniczych. Zeszyt I czyli kurs niższy obejmuje ćwiczenia skierowane głównie do konwersacyi zdaniami łatwemi o przedmiotach potrzebnych w życiu praktycznem, tudzież anegdotki niemieckie. Zeszyt II, czyli kurs wyższy obejmuje w każdej lekcyi zasady gramatyki systematycznej wraz z ćwiczeniami do nich zastosowanemi, rozmówki praktyczne i ustępy powiastek niemieckich, tłómaczone dosłownie. Każdy ustęp powiastek powtarza się przez trzy lekcye w ten sposób, że ustęp z lekcyi pierwszej, powtarza się jeszcze w lekcyi drugiej i trzeciej, co poniekąd zniewala ucznia do nabycia biegłości w czytaniu, tłómaczeniu i opowiadaniu z pamięci.

Podręcznik powyższy może być użytecznym przy nauce języka niemieckiego nawet bez pomocy nauczyciela, gdyż uczeń znajdzie w nim wszelkie ułatwienia i udogodnienia.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pa. Maryi K. Wierszyk zgrabnie napisany, ale jak się domyślać należy, w serduszku młodem a tak czułem, zkąd się wziął pogląd tak rozpaczliwy na sprawy ludzkiego na ziemi żywota? Ziemia nasza nie jest rajem, ale i piekłem nazwać jej nie można. Nadzieja ozłaca wszystko, a ta krzepi, pociesza, a zwątpieniu nigdy przewagi nie pozwala. Może znajdzie się inny wierszyk nie tak ponury w treści, to go chętnie w Tygodniku pomieścimy.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami, oraz Prospekt na dzieło Henryka Sienkiewicza p. t. „Ogniem i mieczem".

Дозволено Цензурою, Варшава 26 Октября 1883 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 45, r. 1883.

W DOBRYM TONIE.

Przekład z angielskiego

Przez K. P.

(Dalszy ciąg.)

XIII

Niebo się zachmurza.

O godzinie szóstej Letycya weszła do księgarni z twarzą jaśniejącą zdrowiem.

— Słuchaj Pat, zawołała, musisz mi natychmiast załatwić pewien sprawunek w mieście.

— Uczyniłbym to jak najchętniej, ale pan przykazał mi abym nie ruszył się ani na krok z księgarni w czasie jego nieobecności. Muszę być posłusznym choć matka moja zachorowała dziś rano i radbym pobiedz do niej choć na chwilę.

— Jakie to szczęście! To jest, ubolewam bardzo że matka twoja chora, i dlatego tylko zawołałam: jakież to szczęście że mogę cię zastąpić w księgarni. Prędko, prędko, biegnij do twej matki.

— Dziękuję pani z całego serca, a matka moja będzie zawsze prosić Boga o jej szczęście.

Pat wyszedł, a Letycya zajęła jego miejsce, ucieszona że jej się tak dobrze powiodło. Nie potrzebowała czekać długo.

— Droga! nieoceniona istoto! zawołała miss Dianna, wbiegając bez tchu do księgarni. Zastaję cię, i to samą, o wskazanej porze. Daj mi list, daj prędko! Czekam na niego z upragnieniem!

— Oto jest.

Dianna przycisnęła go do ust, następnie rozdarła kopertę, a przeczytawszy list rzekła śmiejąc się:

— Doprawdy, to zanosi się na coś ważnego! Zaczyna bredzić jak w malignie! Mężczyźni są tak szaleni, tak namiętni!

— O! tak, odpowiedziała Letycya.

Dianna milczała czas jakiś pogrążona w głębokiem zamyśleniu, i to się uśmiechała, to marszczyła brwi, to znów rumieniła się lub wstrząsała głową.

— Prawdę mówiąc, dlaczego nie? odezwała się nakoniec. Skoro prędzej czy później musi przyjść do tego, to już czem prędzej tem lepiej. Tak, ale pieniądze! pieniądze! pieniądze! Skąd wziąść tych obrzydłych pieniędzy, bez których nie dokonać nie można? A! jakaż to szkoda że mój szlachetny Dick jest tak ubogi.

— Dick! więc ma imie Dick?

— Dick Harrington.

— Dick! powtórzyła Letycya. Sądziłam że ma jakieś arystokratyczniejsze imie.

— Arystokratyczniejsze! *Dick Harrington*, Dick Harrington! Czy może by coś nad to dźwięczniejszego, idealniejszego!

— Harrington ujdzie jeszcze, ale Dick...

— Imie Dick jest zachwycające; wymawiam je ciągle w myśli, a chciałabym powtarzać je głośno, zawsze i wszędzie: Dick, Dick, Dick! Nigdy, nigdy cztery literki nie utworzyły harmonijniejszego brzmienia!

— Ale, miss Dianno, imie Dick, przypomina zawsze wróbla, odpowiedziała naiwnie Letycya.

Miss Hope pogroziła jej palcem.

— Dajmy pokój żartom... Co mam czynić? Jak sobie poradzić?.. Mistress Tippington... czy... czy nie mogłabyś pożyczyć mi... trochę tych szkaradnych pieniędzy?

Letycya zarumieniła się jak piwonija.

— Uczyniłabym to najchętniej, ale...

— Ale ich nie masz. Łatwo się było tego domyśléć, nikt ich nie ma gdy są potrzebne! Na domiar złego ojciec nie pozwala nam brać w sklepach na rachunek! Jakże ojcowie są okrutni!

Letycya westchnęła, stanęły jej w myśli sprawunki które porobiła bez wiedzy męża, a za które będzie musiał zapłacić. Miss Dianna odczytywała list Dicka.

— Wyborna myśl! zawołała nagle. Gdyby też pani załatwiła niektóre niezbędne dla mnie obecnie sprawunki, ja zaś później, gdy tylko będę mogła, zwrócę pani pieniądze. Jesteś mężatką, musisz więc brać na rachunek w różnych sklepach.

— Nie! nie! zawołała zmieszana Letycya, nie mogę tego uczynić.

— Czemu? Nie przedstawia to żadnej trudności. Jestem pewną że już nie mało wzięłaś na kredyt u Vellacot.

— Kilka dni temu wzięłam parę drobnych przedmiotów... za które nie zapłaciłam jeszcze.

— Wybornie! A więc, droga mistress Tippington, idzie tylko o to aby powtórzyć to co już raz zrobiłaś. Weź dla mnie od Vellacot drobiazgi których spis ułożę, on je zapisze na twoje nazwisko, a ja wkrótce przyślę pieniędze i zapłacisz za nie. Nie zrobię ci zawodu.

— Nie wątpię o tém, ale mój mąż...

— Twój mąż? Czy zamierzasz przekonywać mnie że twój mąż jest jakimś despotą i tyranem? I to właśnie gdy zamierzam zaślubić Dicka, dlatego jedynie aby zostać mężatką. Byłoby to coś strasznego gdyby trzeba ciągle stosować się do woli męża! Ale wiesz o tem doskonale że żona może otrzymać od męża prawie wszystko co zechce, zwłaszcza gdy jest tak ładna jak pani. Jestem pewna że master Tippington spełnia wszelkie twe życzenia.

— Tak, Frank jest bardzo dobry dla mnie, rzekła z uśmiechem Letycya.

Bo też tak powinno być. Na cóż zdaliby się mężowie gdyby nie byli nader dobrymi dla swych żon? A teraz gdy już ta kwestya została roztrzygniętą, powtarzam że potrzebuję miéć koniecznie pewne drobnostki zanim ztąd ulecę, i że pani, jako dobra, nieoceniona istota, dostarczy mi ich z pewnością.

— Zanim ulecisz, miss Dianno?

— Tak, wyjadę, ucieknę z Dickiem, który po to jedynie przybył w te strony! Błagam nie o to w swych listach... Inaczej nie mogłabym go zaślubić... Musimy chwycić się tego sposobu skoro ojciec odmawia swego zezwolenia!!

— Rzeczywiście, odezwała się zamyślona Letycya, to jedyny sposób wyzwolenia się od tego potwornego człowieka.

— Potwornego człowieka! powtórzyła Dianna, powstrzymując się z trudnością od śmiechu. Trzeba przyznać że pani jest nadzwyczaj szczerą i otwartą... mówiąc do mnie o moim ojcu, nie wahałaś się nazwać go: potwornym człowiekiem!

— A! miss Dianno! Nie mówiłam bynajmniej o lordzie Hope, ale o tym starym baronecie z sztucznemi nogami, za którego chciano cię wydać. Pan Dick mówił mi o nim.

Miss Hope upadła na krzesło zanosząc się od śmiechu.

— Więc to Dick tak go opisał! Dick powiedział to pani! Ah! mój Dick nieporównany! Zawsze ten sam!

Letycya nie rozumiała co było powodem tej wesołości, lecz że śmiech jest zaraźliwym więc i ona się śmiać zaczęła.

— Z oczu moich wtenczas tylko łzy płyną gdy je śmiech wyciśnie, zawołała nakoniec miss Hope. Innych nie znam i znać nie chcę! Ale wróćmy do interesu, bo może nam kto przeszkodzić. Ja i Dick postanowiliśmy uciec, i wziąść ślub w pierwszym kościele jaki spotkamy na drodze. Chcąc tego dokonać trzeba miéć pieniądze, Dick pisał o nie do przyjaciela, i rachuje na to z pewnością że ten pożyczy mu pięćdziesiąt funtów. Wykonamy nasz zamiar skoro je tylko odbierze. Co do mnie, nie idzie tu o to co nazywają wyprawą, o tem pomyślę później; ale nie mogę naprzykład obyć się bez torby podróżnej. Widziałam właśnie u Vellacot prześliczną, w kształcie kufereczka, i bardzo tanią, żądał tylko za nią cztery funty szterlingów.

— Śliczna, rzeczywiście, rzekła Letycya. Pokazałam ją kiedyś Frankowi, oświadczając że oddałabym chętnie parę lat życia gdybym ją mogła kupić za tę cenę. Niestety! jakąż odebrałam odpowiedź? oto że mi ofiaruje podobną, skoro tylko rozum i sumienie dozwoli mu wydać cztery funty na kufereczek z ruskiej skóry. Długo na to będę czekać! Frank ma takie jakieś nieznośne sumienie, że staje jak mur forteczny między memi życzeniami a tem co on nazywa swym obowiązkiem.

— Wyraża się tak dla upozorowania odmowy, i nic więcej... Otóż, mistress Tippington kup dla mnie ten kufereczek.. Spodziewam się że nie posiadasz sumienia srożącego się o lada drobnostkę. Sumienie! Na co się to zdać może? Ja go nie mam wcale i bardzo mi z tem wygodnie! Potrzebny mi także szal Himalaja, a prócz tego kostium podróżny z szafirowego sukienka, wiszący w sklepie.

— Czy tylko, miss Dianno, zwrócisz z pewnością za te sprawunki, zaraz po odebraniu tych pięćdziesięciu funtów sterlingów?

— Po odebraniu pięćdziesięciu funtow? powtórzyła Dianna; jakby jéj to dotąd nie postało nawet w myśli; po chwili jednak dodała śpiesznie. Ale bezwątpienia, natychmiast.

— Bo łatwo się domyślić że byłoby to strasznem dla mnie, gdyby Vellacot nie odbierając pieniędzy przysłał rachunek memu mężowi.

— No, no, mistress Tippington, nie obawiajże się własnego cienia. Zajmij się sprawunkami, a ja zaręczam że zapłacę skoro tylko będę miéć pieniądze.

— Jutro się tem zajmę, rzekła Letycya.

— Powiedz tylko że przyślesz po nie, a resztę biorę na siebie.

Potém jakby jej zabłysła jakaś myśl nowa:

— Droga mistress Tippington, rzekła zniżając głos, czy nie mogłabyś unieść trochę wieczka od kassy, i pożyczyć mi pięćdziesiąt gwinei, zanim nadejdą wspomniane już pieniądze.

— O! tego nie zrobię! odpowiedziała stanowczo Letycya.

— Więc na cóż służą kassy, jeżeli nie na to aby z nich czerpać w razie potrzeby? Chciałabym bardzo aby ojciec mój miał sklep, a w nim kassę ma się rozumiéć.

— Co mówisz, miss Dianno? Lord Hope kupcem!!

— Czemu nie? widziałam nieraz za kantorem ludzi z postawą prawdziwie arystokratyczną.

Miss Hope umilkła i zamyśliła się

— Mój ojciec jest dziś na proszonym obiedzie, zawołała po chwili. Możemy pójść zaraz do Vellacot, ja sama wybiorę co mi potrzeba, a wieczorem przyślę po wszystko tak aby nie domyślono się niczego. Chodźmy!

Zanim Letycya miała czas odpowiedziéć, Dianna uchwyciła ją za rękę i wyprowadziła ją jak dziecko na ulicę.

Jakaż to radość, jakie szczęście iść przez High Street obok miss Hope! Czemuż nie widziałaś tego! mistress Donolly? Czemu, w tej właśnie chwili, pochylona nad mikroskopem, przyglądasz się trąbce muchy!

— Vellacot zadziwi się że kupuję torbę podróżną, rzekła Letycya.

— Można powiedziéć że ją przeznaczasz na ślubny podarunek.

— Ale to będzie kłamstwo.

— Wielka rzecz! A zresztą mogłoby być prawdą. Kufereczek będzie mi służyć w poślubnej podróży, i nie byłoby nic dziwnego gdyby Dick chcąc mi go ofiarować, prosił aby pani wybrała coś według swego gusta.

Trudno byłoby znaleźć osobę mającą mniej skrupułów, a więcej zdolności do wybiegów. Letycya pomimo że sumienie ją niepokoiło, uległa w końcu jej naleganiom, i wkrótce zbliżyły się do sklepu.

— Wejdź pierwsza, mistress Tippington, a ja zatrzymam się jeszcze parę minut, i gdy będziesz oglądać kufereczki, każ pokazać sobie wstążki. Pamiętaj tylko że gdy się będę przyglądać jakiemuś przedmiotowi, będzie to oznaczać że mi jest *niezbędnie potrzebny*. Ja idę tam aby wskazać co chcę miéć, pani zaś aby kupować dla mnie to co wybiorę.

— Dobrze. Tylko, miss Dianno, bądź ostrożną. Gdyby pięćdziesiąt funtów nie wystarczyło na zapłacenie rachunku, Frank dowiedziałby się o wszystkiem, i to zgubiłoby nas.

— Albożmogłabym zapomniéć o tem? Otrząśnij się pani raz z tej niepotrzebnej obawy.

Letycya weszła do sklepu i kazała sobie pokazać ręczny kufereczek z ruskiej skóry, a że podobnych było bardzo mało w sklepie, łatwo trafiono na ten który jej się tak bardzo podobał. Następnie kazała zapakować kostium z szafirowego sukienka, i rachunek powiększył się o trzy funty szterlingów, a subiekt kładąc suknię obok kufereczka, pomyślał że mistress Tippington jest równie marnotrawną jak ładną. Miss Hope tymczasem przeglądała chustki od nosa przy drugim kantorze.

— Otóż znalazłam! zawołała. Siostra moja życzy sobie takich właśnie jak są w tem pudełku, z haftowanemi rogami, dwie gwineje za tuzin.

— Rozumiem, pomyślała Letycya, i zbliżyła się zakłopotana do chustek Himalaja. Którą tu wybrać.

W tej chwili miss Hope odezwała się głośno.

— Proszę mi pokazać włóczkę berlińską. Potrzebuję białej na tło i karmazynowej na szlaki.

— Mam jej kupować włóczkę, pomyślała Letycya. Czy nie ma w kieszeni ani jednego szylinga.

— Tło białe, brzeg karmazynowy, powtórzyła głośniej Dianna.

Tymczasem przyniesiono chustki, i Letycya spostrzegła wśród nich białą jak śnieg z karmazynowym szlakiem. Uśmiechnęła się, i kazała odłożyć ją dla siebie, równie jak tuzin chustek od nosa, za dwie gwineje.

— Proszę oddać te sprawunki temu kto przyjdzie po nie dziś wieczorem, rzekła cichym ale stanowczym głosem Letycya, i wyszła prędko.

Miss Hope nie uznała za rzecz właściwą zamienić jedno słówko, a choćby jedno spojrzenie z tą która dzięki jej przewrotności stała się jej narzędziem. Może ostrożność nakazywała jej tak postąpić, ale dotknęła tem boleśnie Letycyę. Zdawało jej się że miss Hope tak serdeczna dla niej gdy były same, mogłaby co najmniej przy ludziach nie obchodzić się z nią jak z osobą zupełnie obcą. Ale cóż miała czynić, i ona także wyszła udając że nie zna weale miss Dianny.

Zaledwie doszła do rogu ulicy, gdy miss Hope znalazła się znów obok niej, jeszcze serdeczniejsza jak zwykle.

— Droga! nieoceniona! jakże zdołam ci podziękować.

— Miss Hope, skoro *on* przyjdzie po odpowiedź, odezwała się zimno Letycya, co mam powiedziéć?

— Powiedz mu: Tak.

— Tak?

— Będzie to dostatecznem... Jestto słowo stanowcze, straszne! Ale tak być musi!

— Powtórzę je z największą chęcią, rzekła Letycya. *Tak* jest zachwycającem, *nie* najnieznośniejszem w świecie! zwłaszcza gdy się zwraca do mnie.

— To jedno: *tak*, mówiła dalej Dianna, uchroni mnie od wszelkich *nie*, aż do końca życia. Trudno nawet przypuścić aby po tem: *tak*, Dick ośmielił się... Ale, któraż to godzina? Już tak późno! Muszą tam w domu niepokoić się o mnie. Bądź zdrowa, nieoceniona istoto! Przygotuj się na to, że zjawię się znów u ciebie lada chwila, i zażądam nowych dowodów twej przyjaźni! Możesz także być pewną że nie zapomnę nigdy jak wielką oddałaś mi przysługę! *Nigdy!*

Dianna oddaliła się kilka kroków i znów wróciła.

— Czy już stanowczo nie chcesz pożyczyć dla mnie z kassy kilku gwinei?

— Tak, stanowczo.

Po tych słowach każda z nich poszła w swoją stronę.

Na środku księgarni pozostawionej tak lekkomyślnie bez żadnego dozoru, stał Frank, z brwiami groźnie zmarszczonemi, i tak surowym wyrazem twarzy jak dotąd Letycya nie widziała go jeszcze.

— Co to ma znaczyć? zapytał z gniewem. Dla czego wysłałaś gdzieś Pata? Czemu nie zastałem nikogo w księgarni?

— Matka Pata... wybąkała drżąca Letycya.

— Wiem o tem, i pozwoliłem mu pójść do niej wieczorem. Skoro ośmieliłaś się zmieniać moje rozkazy — do czego nie masz prawa — to czemu nie pozostałaś tu sama? Nie chciałaś pójść ze mną pod pozorem migreny, a zaledwie drzwi zamknęły się za mną, dozwalasz Patrycemu pójść do matki, i wybiegasz gdzieś sama, pozostawiając księgarnię na łasce losu. Musiałoby to zniecierpliwić nawet świętego.

Letycya na pół zmieszana, na pół rozgniewana, z trudnością powstrzymywała się od płaczu.

— Nie myślałam aby w tem było co złego!

— Nie myślałaś! Nie myślałaś! powtórzył Frank pogardliwie. Doprawdy, zaczynam powątpiewać czy jesteś zdolną myśléć o czemkolwiek. Skąd wracasz?

— Mów ciszej, przez litość! Głos twój mnie przeraża.

— Skąd wracasz? powtórzył jeszcze głośniej.

Tym razem Letycya odpowiedziała tylko głośnem łkaniem.

— Wybornie! wiesz że nie mogę patrzéć na łzy, i probujesz czy ci się nie uda zatopić w nich tej sprawy.

— Nie, nie!.. Ah! Franku, przerażasz mnie!

Frank, choć z trudnością, zapanował nad sobą i odezwał się spokojniej:

— Nie mam zamiaru przestraszać cię, Letycyo, ale mam prawo gniewać się na ciebie. Wiesz że nie życzę sobie abyś mnie zatępowała w księgarni, a jednak...

— Ja też nie zastępowałam! — łkanie — wyszłam! — znowu łkanie.

— Raz jeszcze pytam, czemu odesłałaś Pata?

— Matka jego...

— Zostawmy w spokoju jego matkę. Czemu wyszłaś sama?

— Sądziłam... że... że na świeżem powietrzu... głowa przestanie mnie boléć. Ah! Franku; ty mnie już nie kochasz! Nie kochasz wcale!

— Niedorzeczność. Sama nie wierzysz w to co mówisz.

Jednak łzy i ostatnie słowa Letycyi rozbroiły go prawie, i jak przed chwilą czuł się obrażonym, tak teraz zaczął poczuwać się winnym, a wkrótce przyjął jeszcze na siebie rolę pocieszyciela. Po niejakim czasie Letycya raczyła podnieść trochę głowę, następnie spojrzéć na męża, potem przyznać że ją kocha jeszcze, że nie jest zbyt nieszczęśliwą, a nawet w końcu uznać że postąpiła nierozważnie wysyłając Patrycego i zostawiając księgarnię bez żadnego dozoru. Chcąc zaś dowieść że przebacza wspaniałomyślnie mężowi jego uniesienie, pozwoliła aby ucałował koralowe usteczka.

Jednak przewinienie jej nie uszło bezkarnie, w skutek płaczu, przestrachu i wzruszenia, dostała teraz naprawdę gwałtownej migreny, a poczciwy Frank widząc ją cierpiącą, oświadczył że jest szaleńcem, niegodnym posiadania takiego skarbu.

— Mój drogi, wszyscy mężczyźni są porywczy i skłonni do grubiaństwa! odpowiedziała uspakająco Letycya. Moja ciotka powtarzała to zawsze, a mogła sądzić z własnego doświadczenia. Trudnoby znaleźć większego brutala jak jej mąż.

— Kochanie moje, pobiegnę po Pata, a potem wrócę do ciebie, i nie odstąpię już dziś ani na chwilę.

— Co to za papier wysuwa ci się z kieszonki od kamizelki? szepnęła Letycya.

— Ah! jakież to szczęście że mi o nim przypomniałaś. Jestto bilet bankowy na pięćdziesiąt funtów. Wręczył mi go lord Hope, gdy przed chwilą spotkałem go na ulicy, jako dar dla szpitala którego jestem kassyerem, i dla którego co rok przeznaczał taką sumę. Włożę go tylko do kassy i wrócę do ciebie.

Mister Tippington włożył prędko pieniądze do kassy, a klucz od kassy schował do kieszeni, a potem (jak wszyscy kochający mężowie w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości) starał się zatrzéć w pamięci żony nawet wspomnienie wszystkich jej przewinień względem niego.

XIV.

Przesilenie.

Cóż milszego nad słońce po deszczu, nad spokój po burzy? Nieszczęściem młoda nasza para nie długo cieszyła się tym spokojem.

Dzwonek się odezwał i przyniesiono telegram. Ojciec Franka zachorował ciężko, i matka go wzywa aby przybył śpiesznie. Ostatni pociąg wychodzi za pół godziny; Frank przyjedzie tam przed północą, a może wróci nazajutrz wieczorem.

Gdy Letycya kładła do torby podróżnej wskazywane jej przez męża rzeczy, przyszła jej na myśl ta druga bez porównania piękniejsza, którą tak niedawno kupiła, jak niemniej ta druga podróż i dziwne przygody, do których, według jej mniemania, została wmięszaną zrządzeniem losu.

— Pozwól mi odprowadzić się do stacyi! zawołała, gdy Frank ściskał ją wychodząc.

Poszła z nim wzruszona, ze łzami w oczach, a gdy pociąg ruszył pożegnała go jeszcze powiewając chustką, i wracała do domu smutna i sama.

— Życzę miss Hope tak dobrego męża jak mój Frank ukochany, rzekła do siebie. Tak, pomimo że jest księgarzem i nie wykradł mnie. Pozwolić się wykraść (i wziąć zaraz ślub ma się rozumieć) jest to coś *przerażająco* rozkosznego!

Zbliżając się już do domu spostrzegła Harrington'a po drugiej stronie ulicy, i dlatego zamiast do siebie weszła prosto do księgarni.

— Pat, możesz iść na herbatę.

— Dziękuję pani, już ją piłem.

— No! to idź na kolacyę.

— Herbata i kolacya proszę pani to dla mnie jedno i toż samo.

Letycya zakłopotana stanęła za kantorem. Harrington wszedł i zapytał Pata:

— Czy jest najnowsza Fizyologia?

Chłopiec otworzył szeroko oczy, spoglądał to na nieznajomego to na książki i wszystkie przedmioty znajdujące się w księgarni, a wkońcu podrapał się w głowę.

— Nie wiem, czy to mamy, proszę pana. Żałuję bardzo że nie mogę służyć panu. Może pan będzie łaskaw przyjść pojutrze, bo mój pan wyjechał i wróci jutro wieczorem.

— Może ja mogłabym znaleźć to czego pan żąda, rzekła zbliżając się Letycya.

— Czy jest najnowsza Fizyologia? powtórzył kłaniając się nisko.

— Nie umiem panu odpowiedzieć. Może pan przejrzy książki.

W jaki sposób powtórzyć mu to *Tak*, w sposób zrozumiały dla niego? Po co też ten nieznośny Pat wypił tak wcześnie herbatę.

Harrington udawał że przegląda książki.

— Może pani ma: *Miłość prawdziwa nie zraża się przeszkodami.*

— Tak!

Harrington nie zrozumiał prawdziwego znaczenia tego *tak*, odpowiadającego na pytanie rzucone na wiatr.

— Miss Dianna byłaby się już dotąd wywiązała z podobnego zadania! pomyślała Letycya niezadowolniona z siebie. Wykształcenie rozwija umysł.

Oczy jej zwrócone na półki z książkami, napotkały na jednę z nich pod tytułem „Tak i Nie." Ucieszona tem odkryciem podała ją natychmiast Haringtonowi:

— Czy pan zna to dziełko?

Zaczął śpiesznie przerzucać karty, przeczuwając że nie bez celu pokazano mu książkę, i spoglądał badawczo na Letycyę!

— Jestem pewna że ta książka podoba się panu, rzekła. Znajdują się w niej odpowiedzi na różne pytania.

— Doprawdy! zawołał chwytając ją powtórnie i potrząsając z żywością. Nic z niej jednak nie wypadło, ani list ani nawet najmniejsza karteczka, i zniecierpliwiony tem Harrington, odrzucił ją wzruszając ramionami.

— Czy pan zwrócił uwagę na tytuł? odezwała się znów Letycya

Harrington przeczytał głośno: *Tak i nie.*

— *Tak i nie, Nie i tak!* Są to krótkie słówka, ale mogą posiadać wielką wartość, i odpowiadają na wszystko.

— Tylko nie na listy... Choć co prawda jedno z nich byłoby dostatecznem.

— Zarówno na listy jak i na różne pytania.

Twarz Harringtona przybrała wyraz posępny i smutny.

— A więc, ma to być „Nie!" Obawiałem się tego!

— Czemu? na tytule jest nie tylko: Nie, ale i Tak, odpowiedziała Letycya wymawiając pierwsze słowo prędko i obojętnie, drugie zaś wyraźnie i z naciskiem.

Harrington zrozumiał nakoniec! Oczy jego błysnęły radośnie, odetchnął głęboko i pochwycił książkę.

— Nie zwróciłem na to uwagi, słowo daję! Wszak pani powiedziała: Tak?

— Tak, odpowiedziała Letycya głośno i wybitnie.

Harrington po krótkiem milczeniu zawołał:

— Otóż to wyborna odpowiedź... Czyli raczej obiecujący tytuł! Zatrzymam tę książkę!

— Włożył ją do kieszeni, a Letycya wyciągnęła rękę po pieniądze ale napróżno. Biedny Dick! zawsze u niego pustki w kieszeni.

— Czy pani czasem nie wie, gdzie pojechał dziś baronet?

— Do Glenkeel-House.

— Czy pozostanie tam na noc.

— Tak się zdaje.

— Marynarzu korzystaj z pomyślnego wiatru! zanucił Dick i wybiegł z księgarni.

— A to wyborny sobie jegomość! zawołał Pat. Wziął książkę, nie zapłacił i wybiegł jak szalony!

— Musi tu brać na rachunek, rzekła Letycya, i nie czekając na odpowiedź poszła do siebie.

Marynarzu korzystaj z pomyslnego wiatru! powiedział Harrington.

Przygotuj się na to że zjawię się u ciebie lada chwila i zażądam nowych dowodów twej przyjaźni! oswiadczyła miss Dianna.

Co znaczyły te słowa? Czy Letycya miała jeszcze brać jakiś udział w dalszych wypadkach? Niestety! prawdopodobnie wszystko już było skończone. Musi już wyrzec się niespodziewanych przygód i wzruszeń. Cóż jej pozostanie gdy zakochani wyjadą i zamienią ślubną przysięgę? Nic prócz jednostajnego i bezbarwnego życia, jakie wiodła przed tem... Niebezpieczeństwa i trudności mają w sobie coś ponętnego... Lepszy dreszcz przerażenia niżli sen bez marzeń.

Wieczór wydawał się Letycyi nieznośnie długim, poziewała co raz częściej i głośniej, a nakoniec położyła się spać.

Spała spokojnie i głęboko, gdy coś przebudziło ją nagle. Co? na to nie umiałaby odpowiedzieć, była tylko pewna że usłyszała jakiś niezwykły odgłos, i dlatego usiadła na łóżku i przysłuchiwała się uważnie. Nie potrzebowała czekać długo, mały kamyczek uderzył w szybę. Letycya wyskoczyła z łóżka włożyła pantofelki, szlafrok i zbiegła ze schodów: To Frank, pomyślała, ojciec jego musi być zdrowszy, i dlatego wrócił do mnie prędzej. Dobry, drogi, kochany Frank:

Jakież było jej zadziwienie gdy otworzywszy drzwi zobaczyła miss Diannę Hope, która wbiegła szybko, jedną ręką zasłoniła jej usta, a drugą wepchnęła ją do sklepu:

— Cicho, cicho, zawołała; ani słowa!

Mówiąc to załamała ręce, padła na krzesło i dodała rozpaczliwym głosem:

— Jesteśmy zgubieni! zgubieni! zgubieni! jeźli nie zechcesz nam dopomódz!

— Ja?

— Tak, ty jedynie możesz nas ocalić; i uczynisz to. Nie jesteś tak okrutną abyś mogła nie ulitować się nad naszym losem.

— Cóż się stało?

— Odkryto nasze zamiary! Jeźli nas znajdą, Dick zostanie aresztowanym! Nie mamy ani szyllinga! nie mamy za co uciec ztąd aż za morze.

Letycya nie dowierzała własnym oczom. Więc to była ta miss Dianna zawsze śmiejąca się i wesoła, a teraz blada, zapłakana, zrozpaczona!

— Co czynić? odezwała się drżącym głosem Frank wyjechał. O! gdybym miała, gdybym mogła...

— Masz i możesz! Przez litość pożycz z kassy co nam potrzeba.

— Z kassy! Ale kassa pusta.

— Nie! Ojciec mój wczoraj właśnie wręczył twemu mężowi bilet bankowy na pięćdziesiąt funtów. Gdzież on jest?

— W kassie... prawdopodobnie.

— Mój ojciec rozdaje po pięćdziesiąt i po sto funtów na szpitale, a własną córkę skazuje na najstraszniejszą nędzę. Jakież to okrucieństwo!

— Tak, okrócieństwo, powtórzyła Letycya po chwili namysłu.

— Mój ojciec, jako mój ojciec, winien mi udzielić cząstkę swego majątku, a zatem mam większe prawo do tych pieniędzy, niż ten szpital dla którego je przeznaczył.

— Ale kassa zamknięta.

— A klucz! Czy mąż pani zabrał go z sobą? O! w takim razie śmierć nam tylko pozostaje!

Letycya uderzyła się ręką w czoło jakby sobie przypomniała coś nagle.

— Nie, włożył go w kieszeń od tużurka, który pozostał w domu.

— O! zacny, rozumny człowiek! Przynieś klucz, klucz! Wyjmij banknot, wyjmij *moje* pieniądze! Śpiesz się przez litość! Na cóż jeszcze czekasz?

— Ale Frank... Co powie Frank?

— Niech mówi co chce. Zaciągam tylko pożyczkę na kilka godzin. Oddam je skoro tylka przepłyniemy cieśninę, i Harrington odbierze pieniądze.

— Przyrzekasz mi to, miss Dianno?

— Daję na to słowo honoru! odpowiedziała uroczystym głosem Dianna, z ręką podniesioną do góry.

Letycya nie mówiąc już ani słowa weszła na schody, wyjęła klucz z kieszeni tużurka, a w parę minut później otworzyła już kassę, wyjęła banknot i podała go Diannie, która pochwyciła go chciwie jedną ręką, drugą zaś porwała z kassy kilka sztuk złota.

— Wszak pani pozwala? Nie podobno dziś zmienić pieniędzy, a nie mam ani szyllinga.

— Tak, tak. Tylko miss Dianno, nie zapomnij odesłać mi te pięćdziesiąt funtów jutro rano, przed powrotem mego męża.

— Odeślę. Możesz być tego pewną, droga mistress Tippington. O! nie zdołamy nigdy wyrazić ci całej naszej wdzięczności, ani też kochać cię jak na to zasługujesz! Ty nasz dobry, drogi aniele opiekuńczy, zesłany nam na pomoc z nieba!

Dianna mówiąc to zarzuciła ręce na szyję Letycyi, a twarz jej pokrywała pocałunkami. Mistress Tippington pewna że dokonała bohaterskiego czynu, rzekła wywzajemniając się za odbierane pieszczoty:

— Mniejsza o wszystko zresztą, bylebyś tylko była szczęśliwą!

— Bądź zdrowa, jedna minuta stracona może stać się przyczyną naszej zguby, naszej śmierci! Co mówię? stokroć gorzej! Może doprowadzić nas do rozpaczy, wobec której śmierć byłaby niczem.

Znów pocałunki, energiczne uściśnienia ręki, i Dianna wybiegła na ulicę.

Mistress Tippington stała czas jakiś jak odurzona. Czy to rzeczywiście miss Hope ciskała kamykami w szyby? Czy to ona zabrała te pięćdziesiąt funtów? Wszystko to zdawało się być snem, a jednak było rzeczywistością.

O jakiemże to niebezpieczeństwie mówiła Dianna? Obawia się aby nie aresztowano Harringtona... Ktoźby to mógł uczynić, i na mocy jakiego prawa? Czy wolno kogoś aresztować za to, że za zgodą narzeczonej stara się wyzwolić ją z pod despotycznej władzy okrutnego ojca, i chce zostać jej mężem?

Gdzie przez ten czas ukrywał się Harrington? Kiedy i gdzie ślub wezmą? Jakże to wszystko ciekawe i zajmujące!

Potem nasunęło jej się pytanie: Czy też Frank wykradłby ją, gdyby do ich połączenia zachodziły jakieś wielkie przeszkody?

Wykradzenie, to szczyt dobrego tonu i dystynkcyi! Jakże rycerskim duchem musi być przejęty mężczyzna, który nie waha się narazić na niebezpieczeństwo dla zdobycia ukochanej.

Ale czy ona zdobyłaby się na tyle śmiałości i odwagi, na wszystkie pomysły i przebiegi niezbędne w takim razie.

Nie! Jakkolwiek było to wyznanie bardzo dla niej upokarzające, Letycya nie czuła się zdolną do tak wielkich czynów. Przypomniała sobie swe spokojne zaręczyny, swoją nieśmiałość, gorące rumieńce i obawę z której nie umiała sobie zdać sprawy!

A jednak serce jej mówiło że Dianna nie mogła kochać więcej narzeczonego jak ona kochała Franka. Jakiż to nieznany dotąd blask opromienił jej życie w tym dniu gdy ta miłość rozkwitła w jej sercu. Bez tej miłości cały świat stałby się dla niej pustynią.

Była sama wśród tej ciemnej i długiej nocy, a pomimo to łzy radości zwilżały jej oczy. czuła się bezpieczną i niewypowiedzianie szczęśliwą.

Słońce wstało znacznie prędzej niż Letycya, ubrała się też prędko, myśląc o miss Hope.

Miss Hope? Prawdopodobnie już obecnie miss Dianna Hope przestała istnieć, a miejsce jej zajęła *Right Honourable Dianna Harrington!*

Letycya przypomniała sobie z jaką błogą radością słuchała po raz pierwszy po ślubie, gdy ją nazwano: Mistress Frank Tippington, wznosząc jej zdrowie przy uczcie weselnej.

Biedna Dianna! Ona nie będzie mieć ani jednej druchny, ani weselnej uczty, ani też tortu z piramidą.

— Co mi to za ślub bez wesela! Nie zgodziłabym się nigdy na cos podobnego! mówiła do siebie Letycya. A jaki to wywoła hałas! Wiadomość rozejdzie się już dziś rano po całem mieście. Czy tylko potrafię powstrzymać się od śmiechu gdy ktoś przybiegnie do mnie z tą nowiną?

W tej właśnie chwili Katarzyna uchylając drzwi oznajmiła przybycie pani Donolly. Letycya schowała co tchu skarpetkę którą cerowała, a pochwyciła w rękę album i zaczęła przerzucać kartki: — Niech mnie zastanie bez jakiejbądź roboty w ręku, według przepisów *dobrego tonu.*

XV.

Uderzenie piorunu.

— Przepraszam że przychodzę w tak niewłaściwej porze, odezwała się mistress Donolly, ale chciałam dowiedzieć się jak się pani ma po wczorajszej migrenie.

— Dziękuję! Nie byłam tak bardzo cierpiącą, tylko wolałam zostać w domu.

Mistress Donolly niemile dotknięta tą odpowiedzią, spojrzała z zadziwieniem na Letycyę.

— Master Tippington wspominał pani zapewnie jak ciekawe czyniliśmy doświadczenia?

— Których celem było zbadanie budowy trąbki muchy.

— Nie, widzieliśmy wiele nie znanych nam jeszcze rzeczy, nie tracę nadziei że i pani zechce podziwiać je kiedyś z nami.

Letycya przybrała pogardliwą minkę.

— Master Tippington musiał powiedzieć pani że był zachwycony tą nauczającą rozrywką.

— Master Tippington nie miał czasu mówić o tem, gdyż odebrał telegram z uwiadomieniem że ojciec jego zachorował niebezpiecznie, i natychmiast pojechał do niego.

— Jego ojciec! Jakież to ciężkie zmartwienie dla Franka! Jakże ta wiadomość zasmuci mego męża.

— O! Frank wróci niedługo! Byle tylko ojciec jego wyzdrowiał! Śmierć jest tak straszną! Nie wiem doprawdy co zrobiłabym gdyby Franka spotkało nieszczęście!

— Starałaby się pani pocieszyć go.

— Ja? Nigdy jeszcze nie pocieszałam nikogo, i nigdy nie byłam razem z osobami potrzebującymi pociechy. Nie wiem zupełnie co mówić w takim razie.

— To rzecz bardzo łatwa. Myślałaby pani o nim, a nie o sobie.

— I nic więcej?

— Tak, nic więcej.

— Trudna to rzecz nie myśléć o sobie.

— Przyszłoby to samo z siebie, gdyby okazało się potrzebnem dla męża pani, a przekonanie że przynosisz mu jakąś ulgę napełniałoby twe serce radością.

Zwilżone łzami oczy Letycyi, spotkały miły uśmiech pani Donolly. Westchnęła głęboko i pozbyła się wszelkiej przesady, jak zwykle gdy mówiła o swym mężu.

— Nie jestem tak dobrą jak on, szepnęła. Czasem zdaje mi się że mu kiedyś dorównam... Różnimy się często w zdaniach, może, aby nie sprzeciwiać się jego zasadom, będę musiała poświęcić moje fantazye i wymagania. Czuję to teraz gdy jest zdala odemnie.

— To przekonanie będzie się wzmagać z czasem, i wkońcu przejmie pani jego sposób myślenia. Bryan kocha go i szanuje jako najzacniejszego człowieka. Odebrał tak staranne wychowanie. Matka jego...

— Przez litość, mistress Donolly! zawołała Letycya przybierając pretensyonalną postawę, przez litość nie mówmy o jego matce, jestem już przesycona oddawanemi jej pochwałami! Mężowie nie powinniby mieć matek!

— Cóż się z nią stanie jeźli straci męża? mówiła dalej poważnie Henrieta. Frank nie pozwoli aby pozostała sama w fermie, i weźmie ją do siebie. Mówił to nawet do Bryana w czasie ostatniej choroby swego ojca.

— Co? Frank miałby ją wziąć do siebie? Frank mógłby chcieć aby mieszkała razem z nami! Ona, taka zawsze poważna, surowa i sztywna, że gdy jestem z nią razem zdaje mi się że krew zastyga we mnie! Nie, to być nie może. Frank nie byłby tak okrutnym.

— Jestto najlepsza i najzacniejsza kobieta, odpowiedziała prawie surowo Henrieta. Zresztą moje zdanie nic tu nie znaczy, ale to pewna że master Tippington bardzo kocha swą matkę.

Letycya przygryzła usta. Czy to podobna aby Frank narzucił jej swą matkę, aby chciał zniweczyć to sam na sam które jemu także musiało być miłe. Frank miałby wymagać od niej aby w księgarni, w salonie i wszędzie obok siebie znosiła obecność tej starej purytanki, którąby wszystko raziło, która krytykowałaby wszystko i wszystko potępiała! Byłoby to gorsze niż śmierć nawet.

Ale mistress Tippington nie lubiła poddawać się smutkowi, więc też i teraz zaczęła się pocieszać tem, że ojciec Franka może nie tylko wyzdrowieje, ale będzie żył jeszcze bardzo długo, i wkońcu uspokojona tem przypuszczeniem zaczęła myśleć o wypadkach ubiegłej nocy

Czy też zakochana para przebyła już cieśninę? Czy rozeszła się już wieść o wykradzeniu? Co to znaczy że mistress Donolly nic o tem nie wspomina?

— Co tam dziś słychać nowego? zapytała niby obojętnie.

— Czy pani pyta o nowiny polityczne?

— Polityczne? Ja miałabym zajmować się polityką! Nie, pytam się o wieści krążące w Clanmena.

— Nie słyszałam nic nowego, wyjąwszy to że cena kartofli trochę spadła.

— Kartofli! i panią zajmują podobne wiadomości? W Bostrewor nie zbywało przynajmniej nigdy na nieprzewidzianych wypadkach; można było zawsze usłyszyć o jakiejś śmierci, urodzinach, małżeństwie, *wykradzeniu panny,* — Letycya wymówiła z naciskiem te ostatnie słowa, co jednak nie zwróciło uwagi Henriety; widocznie nie wiedziała jeszcze o niczem.

— Co to znaczy? pomyślała Letycya: Niepodobna przypuścić aby miss Hope wyrzekła się swego zamiaru, ani też że go wykonała, a w Clanmena nic o tem nie wiedziano.

— Jutro będzie zebranie stowarzyszenia Tabita, odezwała się spokojnie Henrieta. Wszak mogę zaliczyć panią do członków stowarzyszenia?

— Nie umiem jeszcze odpowiedzieć na to stanowczo.

— Zdaje mi się że byłaby pani zadowolniona...

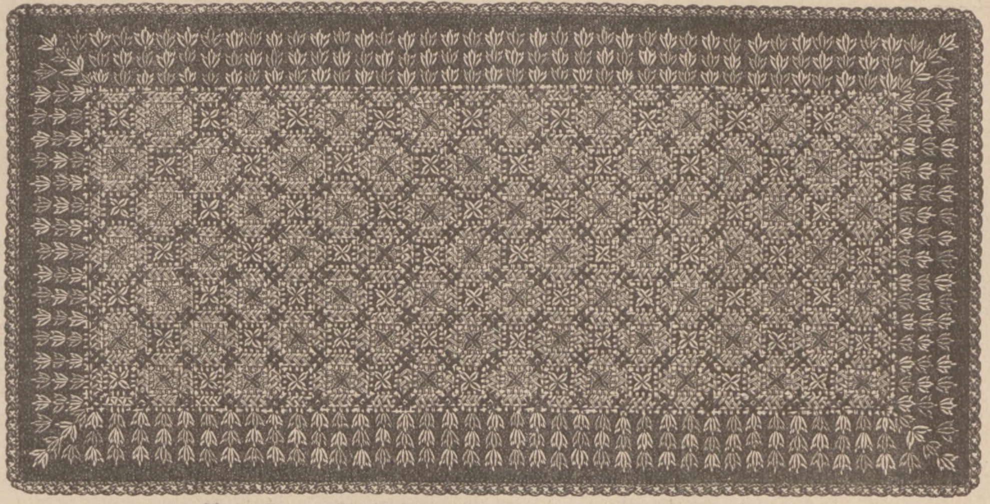
(*D. c. n.*)

Opis do N-ru 45.

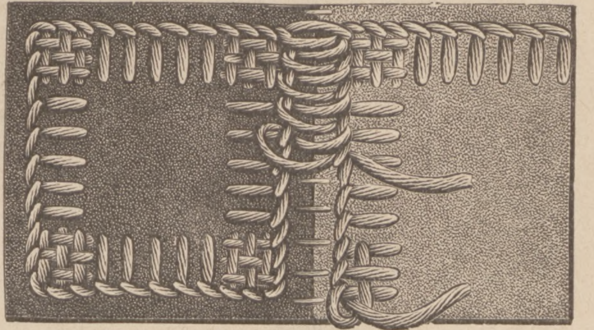
(Dalszy ciąg.)

N. 17. Bluzka dla małego chłopca.

Odrobiona z granatowej surah i bastu jedwabnego, zdobna jest rzędami stębnówki i haftowanemi kotwicami. Spódniczka plisowana przyszywa się do stanika spodniego; bluzka zas opadająca w bufę, wszyta jest u dołu w pasek przypinany do stanika. Kołnierz szeroki marynarski związany wstążką; szerokie rękawy u dołu sfałdowane obciśle i przeszyte wzdłuż na 9 cent.



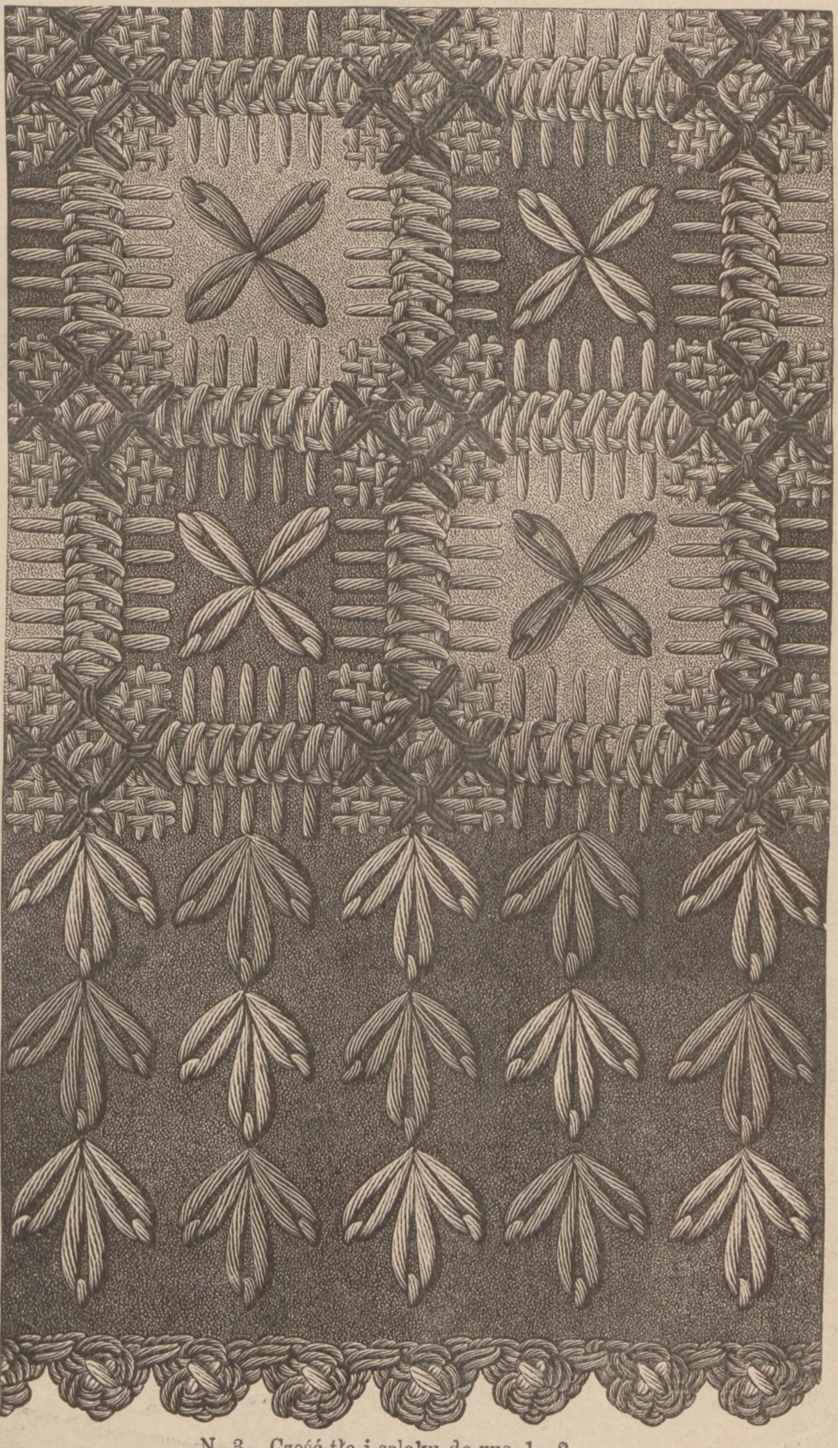
N. 1. Dywanik. Robota mozajkowa z sukna. Patrz ryc. 2 i 3.



N. 2. Odzierganie i łączenie kwadratów, do r. 1 i 3.



N. 4. Suknia ze stanikiem z fałdami. Patrz ryc. 3 w N-rze 44. Krój na arkuszu N. II, fig. 7—8a.



N. 3. Część tła i szlaku do ryc. 1—2.

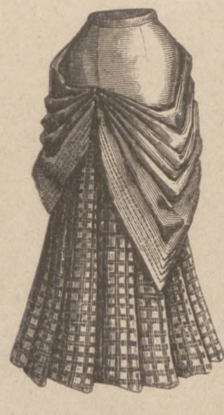


N. 5. Suknia z pelerynką, dla osoby starszej. Patrz r. 6 i r. 26 i w N-rze 44.

N. 19. Ubranie z krótkim paletocikiem.

Krótki, wcinany z tyłu paletocik, ma luźne przody ścięte skośnie i zapięte na jeden guzik, dopełnione kamizelką. Spódnica fałdowana, zakończona plisą i naszyciem pletni wełnianej; tunika fartuszkowa.

N. 20. Paletot wcinany. Patrz ryc. 13 w N. 44, Krój na arkuszu N. V. fig. 15—22.



N. 7. Przód do r. 1 w N-rze 44.

Paletot z pelerynką lub bez takowej, przedstawiony na r. 20 i na r. 13 w N. 44, uszyty z ciemnobronzowego sukienka, ma brzegi kilkakrotnie przestębnowane; kołnierzyk i pasek aksamitny. Fig. 15—17 dają krój stanika, którego przody środkiem krajane są w całej długości. Fig. 18 *a* i *b* wskazuje formę karoczka, którego można nie dawać; fig. 19 *a* i *b* daje wymiar dolnej, fałdowanej połowy paletota, pod którą w górze daje się sztywną podszewkę, odznaczoną ciemniej na formie. Fałdy z przodu składają się płasko w jedną stronę i są po 3 c. głębokie, z tyłu zaś powinny wyżej odstawać, na środku zaś pleców schodzą się dwie kontrafałdy u góry wązkie, do dołu stopniowo rozszerzone. Guziki aksamitne na 84 c. wzdłuż przodu; klamra metalowa u paska.

N. 22. Suknia z tuniką odmiennie z boków podpiętą. Przód i krój patrz na arkuszu z krojami N. XII, figury 39—40.

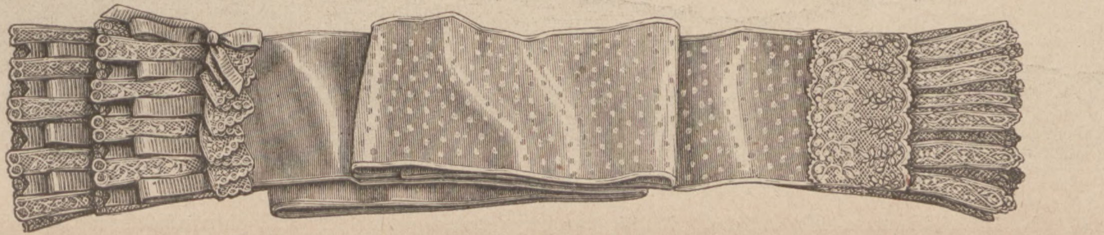
Strojne to ubranie wizytowe odrobione jest z aksamitu bordeaux i atłasu tegoż koloru. Na spódnicy dane dwa wolanty atłasowe po 48 c. szerokie, naszyte szeroką plisą aksamitną. Draperyę kraje się podług fig. 39; *a* oznacza panier dane tylko z jednego boku, *b* zaś daje dalszą całość draperyi, krajaną w jednym ciągu; linija kropkowana oznacza środek przodu; pas ciemniejszy na fig. 39 oznacza ranwers aksamitny przy przednim brzegu.



N. 8. Upięcie z lewego boku do r. 18 i rycina 18 w Nr. 44.



N. 6. Suknia dla osoby starszej. Patrz ryc. 5 i ryc. 26 w N. 44.



N. 9—10. Krawatki jedwabne do zawiązania na okryciu.



N. 11. Fartuszek z przemarszczeniem. Krój na arkuszu N. X fig. 37



Ubrania spacerowe i domowe.

N. 12. Suknia z fałdowanem vêtement.

N. 13. Sukienka bluzkowa dla dziewczynki. Patrz r. 10 w N. 44.

N. 14. Płaszczyk jesienny z szerokiemi rękawami

N. 15. Suknia żałobna. Patrz ryc. 18 w N-rze 44. Krój na arkuszu N. IX, fig. 34—36.

N. 16. Suknia z plisowaniem. Patrz ryc. 21.

N. 17. Ubranie dla chłopczyka.

N. 18. Suknia z tuniką odmiennie podpiętą z boków. Patrz r. 8 i r. 21 w N. 44. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 41.

N. 19. Ubranie z krótkim paletocikiem.

N. 20. Paletot fałdowany wcinany. Patrz r. 13 w N-rze 44. Krój na arkuszu N. V, fig. 15—22.

N. 21. Suknia z plisowaniem. Patrz ryc. 16.

N. 22. Suknia z tuniką odmiennie z boków podpiętą. Krój i przód na arkuszu N. XII, fig. 39—40.



N. 26. Ułożenie włosów nad czołem do ryc. 29.



N. 23. Szlak z aplikacyą. Deseń na arkuszu N. 4.

Od pierwszej gwiazdki danej w górze, zaczyna się upięcie tylne, sfałdowane z jednej strony podług znaków i zaszyte gwiazdką do gwiazdki w głęboki p u k i e l; brzeg tylny 142 c. długi, podszyty atłasem, spada gładko na suknię. Stanik aksamitny ma z przodu fałdowany atłasowy plastron 14 cent. szeroki; na karoczko dodaje się przy pleckach 33 c. wzdłuż i wszerz, prócz tego fałduje się oddzielnie dodany kawałek aksamitu podszyty atłasem 80 cent. szeroki a 26 długi. U dołu stanika i u rękawów dana potrójna wypustka.



N. 24. Rozebranie włosów do uczesania podług r. 29.



N. 25. Skarbowanie włosów z przodu, do ryc. 29.



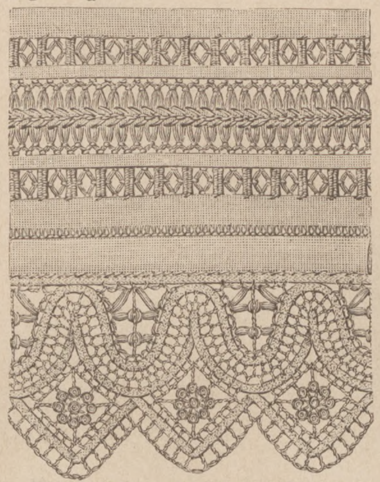
N. 27. Rozdzielenie włosów z tyłu w dwa promienie, do ryc. 29.

N. 23. Szlak z aplikacyą. Deseń na arkuszu z krojami.

Odpewiedni do portjer, firanek, l a m b r ekin odznacza się efektownym d e s e niem; model był na tle z ponsowego pluszu, aplikowany z białego i złotego atłasu. K o n t u r y deseniu wyszyte były niebieskim i żółtawym sznureczkiem jedwabnym i grubą nitką ponsową, przytwierdzoną poprzecznemi ściegami, cienkim jedwabiem. Żyłki w liściach dane ściegiem sznureczkowym, jedwabiem ponsowym i niebieskim. Brzegi boczne szlaku naszyte są ośmioma rzędami niebieskiego sznureczka przytrzymanego w r ó w n y ch odstępach poprzec z n e mi ściegami jedwab n e m i po za tem dany g r u b y sznur e c z e k n i e b i e s k i z żółtym i g r u b a nitka ponsowa.



N. 28. Upięcie dwóch pukli z tyłu do ryc. 29.



N. 30. Kratka i koronka do kołnierzyka r. 31 w N-rze 44. Patrz ryc. 36.

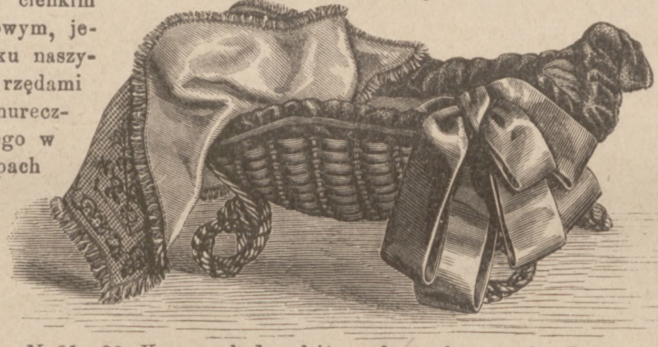


N. 29. Uczesanie w pukle. Patrz ryc. 24—28.

N. 31—32. Koszyczek z przykryciem haftowanem. Patrz ryc. 17 w N-rze 44 i fig. 44 na arkuszu z krojami.

Koszyczek podłużny do robót pleciony jest z trzcinki złotej i liczy 36 cent. długości, 18 c. szerokości w środku na wcięciu a 27 w końcach; środek pokryty jest fałdowanym a t ł a s e m, a brzeg górny otacza bufka aksamitna 4 i pół cent. szeroka. Nóżki okręcone rzadko sznelą; na kokardę przytwierdzoną z jednego boku użyta wstążka atłasowa 5 cent. szeroka. Przykry c i e wyszyte jest ponsowym jedwabiem, ścieg i e m gobelinowym na t l e z cienkiego p ł ó t n a, podług ryc. 17 w N-rze 44; n a r o ż n i k można nie zakończać w róg, jak to widzimy na rycinie, ale ładniej przedstawi się deseń dopasowany na rogach podług fig. 44 na arkuszu. Wyszycie pójdzie bardzo łatwo gdy zamiast płótna, użyjemy kanwy de congrés, w której nitki wybitnie się odznaczają.

(*D n.*)



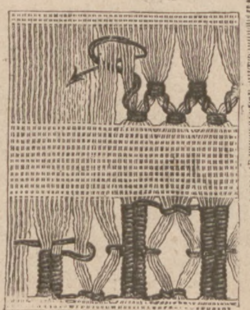
N. 31—32. Koszyczek do robót przykrytych serwetką. Patrz ryc. 17 w N-rze 44.



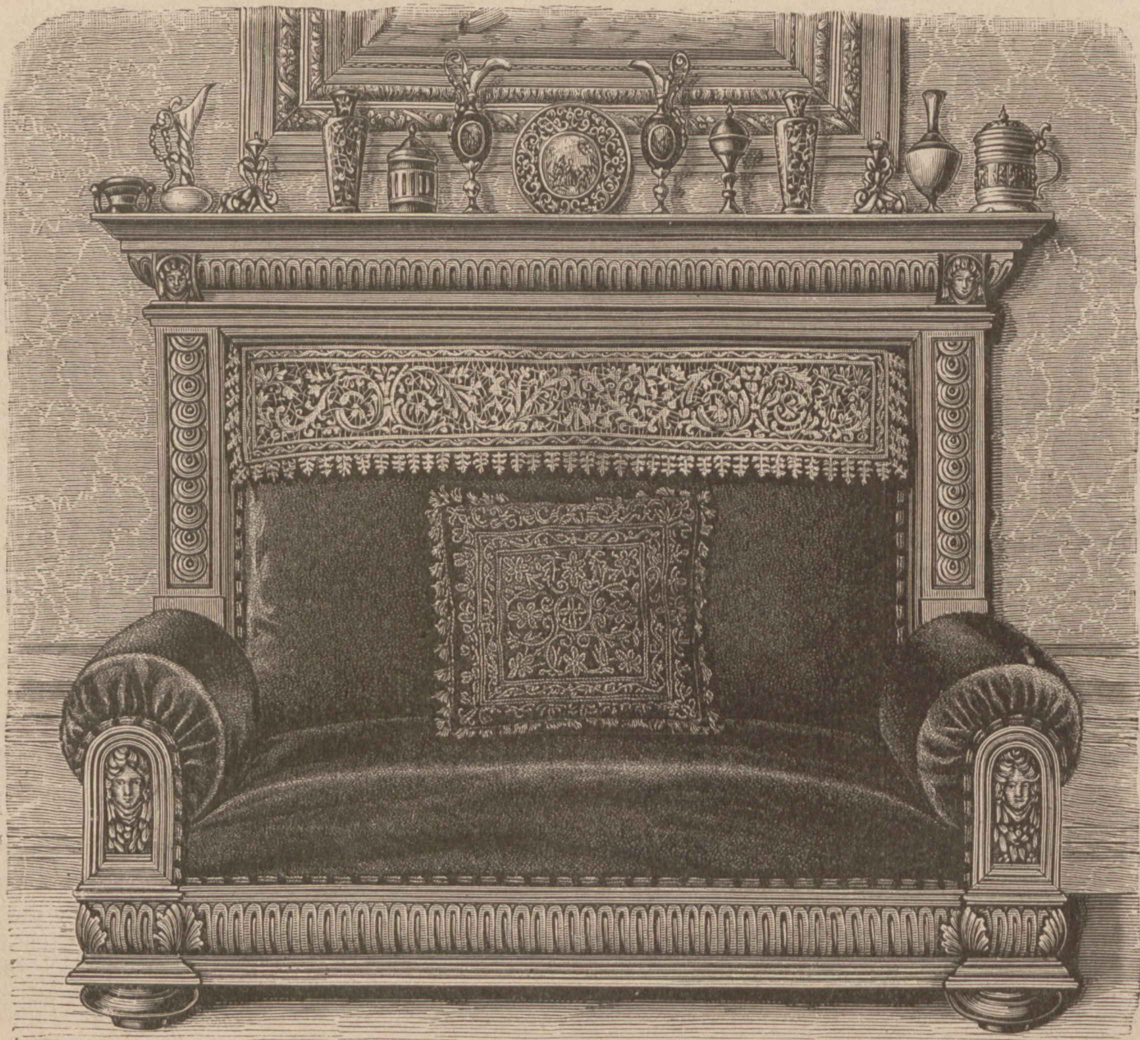
N. 33. Kapotka filcowa.



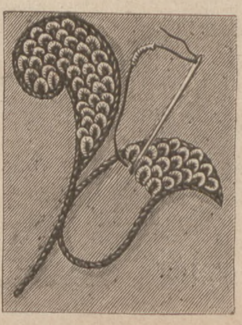
N. 34. Kapotka aksamitna.



N. 36. Wiązanie kratki do ryc. 30.



N. 35. Sofa z przykryciem, z haftem weneckim i poduszka.



N. 37. Wyszycie bajorkiem do r. 22 w N. 44.